№ 21 Warszawa, dnia 15 (27) Maja 1882 roku.



TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop 50. Numer pojedyńczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3. na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwar. w miejscu złr. 2 c. 75 na prowincyi złr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart. w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Widok Nr. 3.

Z OPOWIADANIA REZYDENTA.

POWIEŚĆ.

Napisała

ZBIGNIEWA ZMORSKA.

(Dalszy ciąg.)

W wigilię wigilii Bożego Narodzenia, dzień był mroźny — wszystkie szyby pałacu pokryły się warstewką lodu, ziemia przykryta grubym całunem świeżo opadłego śniegu, błyszczała miliardami brylantów łamiących w sobie promienie iskrzącego się słońca. Najlżejszy podmuch wiatru nie poruszał gałęzi drzew, z ciemnoszafirowego nieba spadał od czasu do czasu cicho i spokojnie kołując lekko iglasty kryształek szronu.

Od nieszczęsnego wypadku z nogą upłynęło już trzy tygodnie i konwalescencya moja postąpiła o tyle, że z pomocą dwóch lasek, pociągając chorą nogę za sobą, mogłem się przesuwać z pokoju do pokoju i zajmować zwykłe moje miejsce przy kominku, któryśmy obsiadali wszyscy, w ulubionym przez domowników i samą panię domu błękitnym salonie.

Dnia tego rano odebraliśmy telegram z Warszawy w którym panna Rewińska donosiła: że jest w drodze i prosi o przysłanie koni na południowy pociąg. O sierocie nic telegram nie wspominał, z wyrażenia tylko „jedziemy" widzieliśmy że ją Anastazya wiezie.

Natychmiast po odebraniu depeszy wysłano ekwipaż na stacyą, i około godziny czwartej wieczorem mogliśmy się podróżnych naszych spodziewać.

Kiedy około południa przyszedłem do błękitnego pookoju, spotkałem Jenerałową przechodzącą z głównego salonu do bocznego oddalonego nieco skrzydła pałacu. Niosła w obu rękach dwa alabastrowe wazony i na „dzieńdobry", które jej złożyłem, odpowiedziała mi wesoło:

— Idę do pokoi naszej przyszłej pupilki, czy chcesz pójść ze mną zobaczyć jak tam urządzone.

Przystałem z ochotą.

Apartament dla przybyć mającej sieroty Jenerałowa urządzić kazała w bocznym, najwięcej w głąb parku wsuniętym pawilonie pałacu. Składał się z dwóch pokoi niewielkich ale umeblowanych i wycackanych jak pieścidełko, przez naszą najpoczciwszą panię. Nie brakowało tu nic, zacząwszy od aksamitów i atłasów, któremi to gniazdeczko literalnie było wysłane, a skończywszy na pysznym fortepianie, doborowej biblioteczce i tysiącu różnych fraszek bez których kobieta światowa obejść się nie może. Nie zapomniano nawet o kwiatach,—kilka pysznych okazów flory podzwrotnikowej przyniesionych świeżo z cieplarni stało przy oknach, obracając swe korony za bladym promieniem zimowego słońca.

Jenerałowa ustawiwszy własną ręką przyniesione wazony na marmurowym kominku, poprawiwszy jakiś niedość artystyczny załom portiery, zmieniwszy nieco węzły przytrzymujące firanki usiadła w wygodnym fijołkowym, aksamitem krytym foteliku i z zadowoleniem przyglądała się swemu dziełu.

— Sądzę, że jej tu dobrze będzie? — rzekła po chwili.

— Lękam się czy nie za dobrze, odparłem. Sądzę, że ta dziewczynka nieprzyzwyczajona do takich wygód. Takie gwałtowne przejście do zbytku z nawpół dzikiego życia na futorze, może niekorzystnie wpłynąć na tę naturę młodą.

— Lękasz się, aby jej to nie zepsuło? żywo zapytała Jenerałowa.

— Lękam aby jej się w główce nie zakręciło. Gdybyś pani była to wszystko urządziła trochę skromniej na początek, a dopiero stopniowo przyzwyczajała ją do wygód i komfortu, ochronilibyśmy ją łatwiej od złych wpływów jakim przy takich gwałtownych przejściach ze złego do dobrego, z ciepła do zimna, z wilgoci do suszy, rzadko co w naturze oprzéć się zdoła, i najtwardsze nawet ciała tym sposobem kruszą się.

— O! mości naturalisto! — przerwała mi żywo Jenerałowa — dowodzisz zaraz wszystkiego materyalnie, ja przecież niemniej materyalnie ci dowiodę, że niektóre ciała tym sposobem hartują się.

— To prawda, ale na to potrzeba żelaznego, wyjątkowego dobrego materyału.

Staruszka uśmiechnęła się.

— Dlaczego przypuszczasz, że moja sierotka kruchym jest materyałem?

— Nic nie przypuszczam, owszem może to być materyał wyborny, ale zawsze młodziutki i miękki i należy nam baczną zwracać uwagę, abyśmy go fałszywie urabiając nie popsuli. Zresztą zobaczymy to wkrótce.

— Zobaczymy, — powtórzyła Jenerałowa — w każdym razie liczę na ciebie panie Sewerynie, że mi w tej pracy dopomożesz.

Obiecałem jej to solennie.

Dzień ten cały przeszedł nam w oczekiwaniu. Od trzeciej z południa Jenerałowa chodziła od okna do okna wyglądając na szosę, biegnącą wzdłuż parku po za żelazną bramą, gdzie co minuta spodziewaliśmy się ujrzéć karetkę wiozącą nasze podróżne. Widocznie jednak cierpliwość nasza miała być wyczerpniętą do ostatka, bo już słońce zaszło i mrok zapadał zupełny a na szosie nic się nie poruszyło. Na niebie zato poczęło się zmieniać — horyzont powoli się zasępił, wiatr poruszył i śnieżek z początku drobny, potem coraz

większemi płatkami polatywać począł, tak gęsto, że pod noc spodziewać się było można dobrej zadymki.

Moją przyjaciółkę widocznie już to wszystko zaczęło niecierpliwić: chodziła jak zwykle o szarej godzinie wzdłuż błękitnego salonu, wraz z księdzem Osowickim, starym kepelanem, ze złożonemi rękami powtarzając za nim po cichu modlitwy, które on z grubego brewiarza czytał, czyli raczej mówił na głos po łacinie. Dzisiaj jednakże modlitwie nie towarzyszyło owe skupienie ducha jakiem się zwykle odznaczała staruszka. Kilka razy niepraktykowane dotąd nigdy pomyłki wkradały się w Psalmy Dawidowe. Kilka razy głośne „Amen” przed czasem, przerwało księdzu Osowickiemu modlitwę. Jenerałowa ustawicznie spoglądała w okna, po za któremi coraz głośniej harcował wicher, spędzając w tumany suche płatki śniegu, miecąc je po polu i rzucając warstwami w coraz grubsze ławy po pod płoty, budynki i wszystkie zaciszniejsze miejsca.

— Doczekały się zadymki! rzekła niechętnie kiedy nareszcie kapelan założywszy wyblakłą czerwoną wstążeczką Antyfonę zamknął brewiarz.

— Tylko ich patrzéć, odparł ksiądz siadając przy kominku na którym właśnie Antoni wesoły rozpalił ogień.

Obsiedliśmy kominek dokoła i pani rozkazała służbie podać światło, aliści zaledwie wniesiono lampy i rozstawiono je na stolikach, nasz siwy Sułtan, który miał zwyczaj witać stajnię głośnem rżeniem, odezwał się przy bramie. Służba wybiegła na ganek, zaturkotało przed pałacem, po chwili usłyszeliśmy tupanie w sieniach, strzępywanie i drzwi lokaj otworzył.

Ruszyliśmy się z miejsć swych ciekawi.

Przodem weszła panna Anastazya rumiana z mrozu i uśmiechnięta, rzuciła się całować ręce naszej dobrodziejki: za nią wsunęła się duża, nieforemna postać otulona w futra, poobwiązywana chustkami, szalami, chusteczkami i wszelkiemi możliwemi złemi przewodnikami zimna, zatrzymując się przy drzwiach nieśmiało.

— Oto jest panna Lubrzańska! przywiozłam ją całą i zdrową, rzekła panna Rewińska wskazując na towarzyszkę.

Jenerałowa, poczęła nowoprzybyłą sama z futer i szali rozwiązywać i rozbierać.

— Jak ci na imię, dziecko? zapytała.

— Ksenia... odpowiedziano z pomiędzy chustek i szali głosem śpiewnym, słodkim.

Jeszczem jej nie ujrzał, a już ten głos melodyjny, przeciągły chwycił mnie za serce. Zatrzymałem rękę Jenerałowej.

— Znasz teraz pani imię jej i głos słyszałaś, zgadnij jak wygląda? zapytałem.

— A dajże mi pokój panie Sewerynie! O tem zaraz przekonamy się naocznie, odparła żywo staruszka rozwiązując węzeł olbrzymiego jakiegoś szala z niecierpliwością, która zamiast pomagać, przeszkadzała tylko w pośpiechu. A wtem z pod chustek ozwał się głosik figlarny, wpółcichy:

— Postać szkieleta, dzikość ma w spojrzeniu,
Łachmanów strzępy wiszą po odzieniu,
W wywiędłe kwiaty, w wypłowiałe wstęgi,
Utkała gęsto warkocz skołtuniony.
Gdzie tylko zwróci, gdzie się tylko zbliża,
Jak przed szatanem robią znaki krzyża.

Jenerałowa roześmiała się zadowolena. Co do mnie byłem zadziwiony znalezieniem się tego, jak mnie uprzedzono, na wpółdzikie go dziecka, które przełamując pierwsze lody powitania, wstępowało pomiędzy nas tak swobodnie.

Nakoniec ostatnia okrywka spadła z nowoprzybyłej, którą Jenerałowa ująwszy za rękę poprowadziła w głąb pokoju i umieściła w jasnym kręgu światła bijącego od wielkiej wiszącej lampy. Wszyscy nie wyłączając księdza kapelana, spojrzeliśmy ciekawie na wiotką postać w żałobnej sukience, która czując kilka par oczu spoczywających na sobie badawczo, lekko zarumieniona z pochyloną, nieco główką, z po za firanek jasnych włosów spływających jej strumieniami na twarz i czoło, patrzała na nas wielkiemi, dziwnego jakiegoś nieokreślonego koloru oczami.

W pierwszej chwili ja, i jak później dowiedziałem się, my wszyscy, nie widzieliśmy nic jak tylko te oczy, oczy prawdziwie ukraińskie, tego jakiegoś tonu, na który składa się barwa szafirowa, fijołkowa i kolor szmelcowanej angielskiej stali, jak tam zowią, oczy hołubii, słodkie, zamarzone, a głębokie i przepaściste aż straszne!

Nie wiem jak na kogo, ale na mnie działały one jak każda toń bezdenna. Czułem, że biorą mi duszę w siebie i nie mogłem oderwać od nich moich oczu, choć widziałem, że jestem niedyskretny onieśmielając i tak już zawstydzoną sierotę. Na szczęście przytomna jak zwykle panna Anastazya, przerwała tęscenę zwracając uwagę Kseni, że jeśli czem to potarganą głową przypomina istotnie swą obłąkaną imieniczkę.

Ukrainka rozśmiała się, wyprostowała i zgarnąwszy małą i kształtną choć opaloną i widocznie niepielęgnowaną rączką włosy, założyła je swobodnie na różowe delikatnie rzeźbione uszko, potem zwróciła się do Jenerałowej, badawczo spojrzała w jej twarz miłą, uśmiechniętą dobrotliwie i zawołała:

— Będę cię kochać cjociu! zarzucając ręce na szyję staruszki.

— Będziemy się kochać obiedwie, odparła wzruszona Jenerałowa przytulając do piersi jasną główkę dziewczęcia. Będziemy cię tu kochali wszyscy i nasz kapelan i pan Święcicki, stary przyjaciel mego domu, dodała w rodzaju przedstawienia wskazując nas ręką.

Ukłoniliśmy się obaj z kolei, ale dziewczyna nie oddała nam ukłonu, uśmiechnęła się tylko do nas słodko i pytająco.

W tej chwili stary Antoni oznajmił, że podano do stołu i przeszliśmy do jadalnego pokoju na herbatę, której panie obie z drogi bardzo potrzebowały.

Jenerałowa usadziła sierotę obok siebie przy stole i teraz dopiero zająwszy miejsce naprzeciw, miałem sposobność dobrze jej się przypatrzéć.

Miała nie więcej jak lat piętnaście, ale wyrosła tak bujnie, że gdyby nie dziwnie piękne i harmonijne kszałty ciała, które się rysowały przez ubogą czarną sukienkę, nazwać ją było można prawie za wysoką. Obyczajem też kobiet bardzo wystrzelonych w górę, nie trzymała się zupełnie prosto, nie pochylając się jednakże naprzód, co zawsze czyni kobietę podobną do brzozy płaczącej i nadaje jej pozór elegijny i zrezygnowany, ale przeciwnie kibicią całą nosiła się lekko, przegięta w tył i była podobną raczej do topolki młodej, która choć smukła i wybujała, ale mocna i gibka hardo podmuchom wichrów stawia czoło. Nad cudownie rozwiniętym, choć niezupełnie jeszcze wypełnionym biustem, na idealnie wytoczonej szyi osadzona była godna pierwszorzędnego dłuta główka przeciążona niezmiernem bogactwem jasnopłowych bez połysku, przypominających lniane włókna, włosów, jakie widujemy często na głowinach wiejskich dzieci, wystawionych na wpływy deszczu, wiatrów i promieni słońca.

Twarzyczkę miała owalną, podobną do bladoróżowej różyczki, na którąby słońce narzuciło delikatny złotawy koloryt: czoło czyste i jasne, usta różowe uśmiechnięte, z błądzącym w koło nich jakimś tęsknym, słodkim wyrazem, co w połączeniu z zadumą oczu stanowiło całość porywającą; nosek zato ściągły i delikatny od góry cienki z lekko roztwartemi różowemi nozdrzami, zdradzał namiętność, i mocno zarysowane brwi ciemne lekko na czole złączone, wskazywały charakter silny, zdecydowany.

Przez cały ciąg herbety Jenerałowa wypytywała się panny Anastazyi o szczegóły podróży. Stara panna zwykle bardzo elokwentna, dzisiaj ze zdwojonem ożywieniem i krasomówstwem opowiadała swe wrażenia, nie mogąc się uspokoić nad dzikością stepowego kraju, który przebywała.

Ksenia przez całe to opowiadanie milczała, piła prędko herbatę nie podnosząc prawie oczu, które trzymała utkwione w filiżankę uparcie.

Uważałem jednakże, że od czasu do czasu brwi jej drgają, ściągając się niecierpliwie a kiedy Rewińska opowiadając o szalonej jeździe jakiegoś kijowskiego zwoszczyka, który całą siłą trójki wiózł ją przez śniegi i zaspy w przegony z szumnym wiatrem stepowym, zakończyła słowy:

— Pani łaskawa! sądziłam że jestem na Sybirze!

Dziewczę odsunęło filiżankę niecierpliwie i podnosząc jasne oczy na starą pannę, rzekło dosyć hardo:

— Nie byłabym tu przecież przyjechała! gdyby nie Hordij i nie Warwara.

Panna Anastazya ucichła a jenerałowa zwróciła się do Kseni.

— Któż to jest Hordij?

Dziewczyna rozśmiała się.

— Stary kozak co mnie chował, odparła swobodnie.

— A Warwara?

— Mamka moja.

— Tak? I w jakiż to sposób wpłynął ów Hordij na twój przyjazd do mnie?

— Powiedział mi, że dobrze zrobię gdy tu pojadę, że jechać powinnam. Inaczej — dodała jasnemi oczami patrząc na staruszkę, nie byłabym przyjechała tutaj nigdy, choć tu tak pięknie i ty ciociu dobrą jesteś!...

— Zkąd wiesz, że jestem dobrą? zapytała Jenerałowa.

— Oczy masz poczciwe, odparła sierota.

Jenerałowa pogłaskała dziewczynę po jasnej główce.

— Dziękuję ci. Dlaczegóż mówisz, że gdyby ów Hordij nie był ci powiedział, że jechać tu trzeba, nie byłabyś przyjechała?

— Nie byłabym nigdy rzuciła futoru — krótko odpowiedziała Ksenia.

— Czy zawsze go słuchasz?

— Zawsze, to stary i bardzo rozumny człowiek!

Jenerałowa i ksiądz Osowicki uśmiechnęli się. Dziewczę pochwyciło ten uśmiech i zarumieniło się mocno.

— Doprawdy, bardzo jest rozumny! zawołała żywo — a choćby i nie był — dodała łagodniej — to kocha mnie i przeczuje co dla mnie może być dobrem i potrzebnem.

Prawie gniewałem się na nasze towarzystwo za ten uśmiech, widząc jaką nim przykrość zrobiło sierocie. Jenerałowa także spoważniała.

— Czy i Warwary słuchasz także tak ślepo? spytała.

— O z Warwarą rzecz się ma zupełnie inaczej, odpowiedziała z rozjaśnioną już twarzą. Robię z nią co zechcę!

— Lubisz bardzo tych ludzi?

— Bardzo ich kocham, odparła zapatrzywszy się w płomień wspaniałej alabastrowej lampy, stojącej na stole. Oni mnie przecież hodowali... jedyni... Jak sięgnę pamięcią pamiętam ich oboje nad moją kolebką śpiewających mi nasze smutne pieśni. Oni mnie ochrzcili, oni mi imię nadali, oni mnie wykarmili, wypieścili jak rodzoną swoją.

— Miałaś przecie ojca, dziecko!

— Tato był swojemi książkami zajęty — spospokojnie odpowiedziała dziewczyna — i jak Hordij powiadał, nigdy dzieci nie lubił. Gdzież uczonemu człowiekowi zajmować się było taką jak ja dzieciną. Nigdy pamiętam nie było mi wolno do niego wchodzić. Później, kiedy wyrosłam na słuszną dziewczynę, częściej mnie przywoływał do siebie, opowiadał mi różne rzeczy, wypytywał o to czego nauczyłam się przy nauczycielce i pozwalał przewracać i wybierać sobie co chciałam z biblioteki. Od czasu nawet gdym mu bez omyłki przetłomaczyła kilka pieśni Iliady, całkowicie oddał mi ją w opiekę.

— Alboż mówisz moje dziecko po grecku? zapytał zdumiony ksiądz Osowicki.

— Umiem, odparło dziewczę tak swobodnie, jak inna dziewczyna powiedziałaby, że umie zrobić piętę u pończochy, lub haft płaskim ściegiem.

— Czy ojciec cię uczył?

— Nie, ja sama znalazłam sobie w bibliotece gramatykę i kilka słowników i wyuczyłam się.

— Musiał ktoś przecie dawać wskazówki i rady...

— Nikt nie dawał, trzymałam się ślepo gramatyki i słownika.

— No, a jakżeż było z literami? indagował widocznie zaintrygowany kapelan.

— Podobne przecież do hraždžańskiego pisma! Alboż to co trudnego? Tato powiadał zawsze, że mam wielką łatwość do języków starożytnych. Inaczej ma się rzecz z nowożytnemi — dodała śmiejąc się głośno. Biedna panna Kamieńska desperowała przy każdej lekcyi francuzkiej i miała czego, bo stanąwszy na „Constitutionel”, przez cztery lata ani ruszyłam z miejsca.

— To szkoda — odezwała się Jenerałowa, patrząc z widocznem zadowoleniem na śliczną i dziwnie swobodną dziewczynę. Sądzę że greczczyzna mniej potrzebna młodej panience od języka francuzkiego.

— Przecież ja do Francuzów nie pojadę, ciociu! patrząc jasnem, pełnem okiem na staruszkę, rzekła Ksenia.

— Możesz się jednak spotkać z ich językiem na każdym kroku. To język salonów przyswojony w całej Europie.

— To samo mówiła mi zawsze panna Kamieńska — odparła zamyślając się dziewczyna. Czy Francuzi uczą się także po polsku, ciociu? zapytała nagle.

Widziałem, że pytaniem tem na chwileczkę wykoleiła Jenerałową z toru. Staruszka zawahała się nieco.

— Nie sądzę...

— No, to kwituję z salonów i francuzczyzny! Nigdy nie nauczę się tego jękliwego języka, przypominającego gęganie gęsi.

— Nauczyłaś się przecież po grecku, dziecko?

— O! to zupełnie co innego. Powiedział mi kiedyś tato, że żadna dziewczyna po grecku się nie uczy i że to niewdzięczny przedmiot dla kobiety. Chciałam się więc przekonać czy to prawda i pokazać, że właśnie nauczę się.

— Uczyłaś się więc przez ambicyą?

— Przez upór — odparła dziewczyna śmiejąc się i odgarniając z czoła niesforne włosy spadające jej znów na oczy.

(*D. c. n.*)

WIECZORNE MARZENIA.

Gdy ziemię nocne kryją zasłony,
To smętnych dumań jest chwila;
Na niebie błyszczą świateł miliony,
A między niemi blady, stęskniony,
Księżyc się trwożnie wychyla.

Zewsząd milczenie. Choć luby ze mną,
Zdala od dziennej swej troski,
Wpatrzmy się społem w tę przestrzeń ciemną,
I gwiazd rozmowę śledźmy tajemną
O cudach wszechmocy Boskiej.

Patrz, jak te światła w górze rozsiane,
Wyrokiem Najwyższej woli,
Spojrzenia na nas chylą stroskane,
Może przeczuły serc ludzkich ranę
I ogrom naszej niedoli!

Patrz — tu się w większą ilość skupiły
I świecą promienną wstęgą,
Jakby nam ludziom z góry mówiły,
By w spojni czerpać światło i siły,
Gdy z ciemną walczym potęgą!

Patrz — już światełka na niebie gasną,
Czarny je obłok zasłania,
A tak przed chwilą było tu jasno!
Czyliż tak samo wśród chmury zasną
Nasze o szczęściu dumania?

Tyś wzrok zatopił w pochmurnem niebie,
Z wyrazem tajonej trwogi,
Może przeczuwasz w tym gwiazd pogrzebie,
Cierpienie dla mnie, boleść dla siebie,
Powiedz, ah powiedz mój drogi!

Jeźli w twem sercu nagle powstało
Jakie przeczucie złowieszcze,
Przede mną duszę otwórz zbolałą
I myśl dręczącą wypowiedz śmiało...
Cóż luby.., ty milczysz jeszcze?

. . . .

Ha! wyobraźnia niech żyje młoda,
Już mam odpowiedź na zapytanie;
Patrz, znów się chmurzy — jaka to szkoda,
Bo nam potrzebna ciągła pogoda,
Dopóki żyto w stertach nie stanie!

Emilia.

MARYA STUART
W HISTORYI I W LITERATURZE.

Napisał

ZORYAN.

(Dalszy ciąg.)

II.

Dwadzieścia jeden lat miał Juliusz Słowacki, gdy napisał dramat „Marya Stuart”, a na wykończenie całego dzieła potrzebował nie więcej, jak miesiąc czasu, bo tylko od 17 września do 18 października 1830 roku pracował nad nim. Świadczy to o niepospolitej łatwości tworzenia, o ogromnej sile twórczej i bogactwie fantazyi. Łatwość ta, obok oryginalnego piękna, które Dr. Antoni Małecki w swej znakomitej rozprawie o Słowackim nazywa romantyzmem formy, stanowią cechę charakterystyczną poezyi Słowackiego z epoki młodzieńczej. Istotnie forma ta, technika w obrazowaniu, są znakomite; przepyszny język, który w sobie łączy i pieściwość erotycznych pieśni z obrazowością i siłę męzką z kolorytem pełnym grozy, olśniewa swem bogactwem. Język Słowackiego odznacza się taką świetną barwistością, a tak przytem znakomicie nim włada, tak w opisach każdy przedmiot wycieniowuje, że nieraz rzecz najdrobniejsza, najzwyklejsza, staje się pod jego piórem tak czarująco-piękną, iż dla niej zapominamy o całem otoczeniu, w zachwycie zatrzymujemy uwagę na niej tylko, podczas gdy wypadki w niepowstrzymanym pędzie mijają nas. Lecz ta świetność obrazowania wywiera wpływ taki nietylko na czytelniku, — ulegał jej, dawał jej się porywać sam poeta. Dlategoto właśnie, kiedy język jego zawsze prześliczny, skończenie piękny, budowa dzieł często wiele pozostawia do życzenia.

Piękno języka w parze idzie z fantazyą poetycką. Słowackiego fantazya zarówno bogata, jak oryginalna, niepowtarzająca się; ona to jest tem światłem, w którem poeta roztacza swe obrazy, idąc o lepsze z najpierwszymi kolorystami. Lecz fantazya ta, nadająca tyle życia dziełom w pierwszej epoce twórczości poetyckiej, tak potężnie działa na umysł poety, że zupełnie bierze górę nad refleksyą i spokojem artystycznym, ruguje je, a sama rozwielmożnia się na dobre. Skrzydlata fantazya porywa poetę, a tem samem nie dozwala mu przedmiotowo kreślić obrazów i charakterów, nie cierpi zatrzymywania się dłuższego nad jednym przedmiotem, a tem samem uniemożliwia spokojne badanie życia, które przecież jest obfitą kopalnią dla poety. W takich warunkach przerzuca się Słowacki z przedmiotu na przedmiot, tam tylko dłużej się zatrzymując, gdzie jego fantazya poetycka znalazła obfity materyał do roztaczania olśniewających blasków.

„Jego odrębny sposób rozwijania osnowy poetyckiej — mówi Małecki w swem dziele — zależy pod względem *technicznego* artyzmu na tem, że więcej on zawsze natrącał i napomykał, nawięzywał i zrywał, jednem słowem, szkicował i fragmentował, aniżeli żeby miał wszystkie przejścia kreacyi swojej wykenywać szczegółowo, w równej mierze i w nieprzerwanym ciągu.”

Szkicowość ta, tak silnie nieraz opanowuje pióro poety, że aż lekceważy potrzebę ścisłej konse-

kwencyi. Tak zdarza się, że gdy poecie nawinie się na myśl obraz, lub scena piękna, kreśli ją, bez względu na to, że nie może ona być żadną miarą wynikiem scen poprzednich, wymagających następstw zupełnie innych.

Do takich scen zaliczyć musimy — w czem wiernie idziemy za Małeckim — scenę 7 aktu III, która po ostatniej scenie aktu II-go wydaje się zupełnie rażącą niekonsekwencyą. I tak rozstaje się Marya w akcie drugim z swym lutnistą bardzo zimno, wyprawia go ze Szkocyi, aby uszedł śmierci mu grożącej, lecz czyni to jako królowa, która nie chce, ażeby zajścia poprzednie weszły na drogę krwawych zbrodni. W scenie tej zbija najzupełniej podejrzenie, jakoby kochała Rizzia, bo gdy ten, jej dobrocią uwiedziony, zdradza swą miłość, Marya mówi:

„Rizzio, chciej mówić z królową,
Rozmawiałeś z kim innym."

Toż samo dzieje się, gdy Rizzio prosi o pozwolenie powtórnego pożegnania, Marya wzbrania i gdy innej nie znajduje na natarczywość rozkochanego Włocha rady, rani go śmiechem i szyderstwem. Jakże dziwną się wydaje scena 7 aktu następnego, która sama dla siebie piękna jest i doskonale przeprowadzona, w całej wszakże budowie psuje konieczną harmonią. W samejże scenie zachodzi druga niekonsekwencya, mianowicie w charakterze Maryi, w której widzimy nagłą, niedającą się ani wytłomaczyć, ani uzasadnić zmianę. I tak Marya, która jeszcze w akcie drugim była dla Rizzia królową i tylko królową, zaprasza go na długie sam-na-sam w wieczornej godzinie, słucha jego słów pieszczonych, pozwala teraz mówić sobie Maryo! pozwala usiąść na stołku pazia, daje mu kwiaty ze swych włosów, daje wachlarz — a wszystko to czyni, bo Rizzio zastępuje miejsce nieobecnego pazia.

Taki przeskok w charakterze i sytuacyi nie da się żadną miarą uzasadnić fantazyą, kaprysem kobiety, lecz chyba usprawiedliwić, wytłomaczyć fantazyą genialnego poety.

A kiedy już o tem mówimy, nie możemy pominąć pewnej uwagi pana Małeckiego, który do rzędu scen, nieznajdujących w poprzedniej budowie podstawy, zalicza także ostatnią scenę aktu III-go. Idzie tu mianowicie o słowa Bothwella:

„w dobrą trafiłem godzinę,
Wieki trzebaby czekać na takie wyznanie,
A teraz ją zdradziły rozpacz, obłąkanie..."

które p. Małecki odnosi do wyznania miłości twierdząc, że skoro Marya już poprzednio mówi:

„O! teraz przybądź do mnie! przybądź tu Bothwelu!"

nie mogło mieć innego celu, jak wyznanie miłości. W pracy p. Małeckiego, która niezawodnie jest najlepszą nietylko o Słowackim, lecz wogóle pierwszeństwo jej się należy w rzeczach tego rodzaju w całej naszej literaturze — zaszło małe niedopatrzenie, czy też niezwrócenie uwagi na pierwsze słowa Bothwella:

„On żyje jeszcze?... w dobrą trafiłem godzinę,
Wieki trzebaby czekać na takie wyznanie.
A teraz ją zdradziły, rozpacz, obłąkanie.
Myśl zemsty, w niej ukrytą, jako kwiat rozwinę;
Piękny kwiat, choć zatrute owoce wyradza!
Teraz chyba szatana wyrwie mi ją władza!
Serce się moje kobiet łzami nie rozczula —
Chcę, żebym myśl jej odgadł? nie — ja nie rozumiem!
Cóż mi powie: Bothwellu zabij! zabij króla!
Za mniejszą cenę nie chcę zabijać — nie umiem."

W scenie tej odsłania się charakter Bothwella w całej nagości i okazuje się brzydkim nad wyraz. Pierwszy to raz widzimy go takim, dotąd był zamyślony — teraz wypowiada jasno, że jest szatanem. Scena ta podnosi zarazem w oczach widza Maryą, która w przystępie rozpaczy, graniczącej z obłąkaniem, a usprawiedliwionej tem, że zdeptano jej godność, znieważono królowę i kobietę morderstwem Rizzia — wypowiada chęć zemsty. Widząc się samą na tronie, nienawidząc, a bardziej może gardząc mężem, oddaje się namiętności i chce „połączyć dłonie z Bothwellem przed ołtarzem Pana," a gdy temu stoi na przeszkodzie węzeł małżeński z Henrykiem, pragnie jego śmierci. Bothwell chwyta w lot jej słowo i w monologu, który przytoczyliśmy, rozwija plan dalszej działalności, streszczający się w słowach: porwać Maryą w wir zbrodni, pociągnąć do współwiny, pchnąć w pyzepaść nad której brzegiem mogła się była wstrzymać.

Rozebraliśmy już teraz tę scenę, bo ona stanowi punkt kulminacyjny w charakterze Maryi i jest przełomem w sztuce, o której budowie kilka słów mamy opowiedzieć.

Przedewszystkiem nasuwa się nam uwaga, że poeta przed rozpoczęciem swego dzieła nie miał skończonego zupełnie planu tej nici przewodniej, którejby się w ciągu pracy poetyckiej trzymał. Nić tu powinna się wić około charakteru bohaterki, kierując równocześnie całą akcyą. W „Maryi Stuart" tego nie widzimy. Brak ten uwidocznia się najbardziej w chwiejności Maryi, w zbyt niewyraźnem zaznaczeniu drogi, po której ona ma kroczyć. Marya zbyt mało ma samodzielnej woli, zbyt wiele rozprasza się, za mało skupia w czynie. Za wiele w całej sztuce spotykamy życia prywatnego, ledwo potrącona na wstępie strona historyczna zamilkła zupełnie, motyw, który miał stanowić o historyczności dzieła, ustępuje i dramat, jak słusznie uważał Małecki, przestaje być historycznym, acz osoby występujące znane nam są z historyi. Porzuciwszy motyw historyczny, wprowadza poeta inny, a tym: zazdrość męża, ztąd niezgoda domowa, rozbrat między małżeństwem. Zaledwie ta pobudka rodzi jeden czyn, zabójstwo Rizzia, a już spotykamy się z nowym motywem; Marya zapomina o względach politycznych, które pierwszemi jej krokami kierowały, a unosi się chęcią zemsty. W tymże samym czasie zapomina Henryk o zazdrości, wierzy słowom żony — tak więc z kolei dwa motywa upadają, a trzeci dopiero wytrzymuje do końca, znajdując silną podporę w żądzy władzy Bothwella.

W zawiązaniu akcyi okazuje się jeszcze rzecz jedna, która osłabia początek. Pochodnię niezgody na królewskim dworze zapala fałszywy doradzca królowej, jej lutnista Rizzio, a daley sprowadza katastrofę spór jego z Duglasem. Za sporem idzie zamordowanie Rizzia, a ztąd już szybkim krokiem zbrodnia za zbrodnią. Królowa mścić się musi, nie śmierci śpiewaka, lecz zniewagi sobie wyrządzonej. Sądzimy, że to właśnie osłabia dzieło, iż pierwszy popęd wychodzi od Rizzia, który pod względem stanowiska na dworze stoi nizko, który mógł łagodnie grać na harfie, mile składać głos do śpiewu, lecz za mało ważył, a raczej ważyć powinien tam, gdzie rzecz była między małżeństwem królewskiem, między królową a narodem. Spór Rizzia z Duglasem, który był tylko rycerzem służbę w zamku pełniącym, to spór, powiedziałbym, nieokrzesanej służby, która zapomniała o obecności królowej i winnych jej względach, to za małe, aby zakłócić do reszty spokój królewskiego domu. Gdyby na miejscu Duglasa poeta był postawił kanclerza Mortona, rzecz przybrałaby zupełnie inną postać, kanclerz miał prawo i obowiązek przedłożyć królowej swe uwagi, bo siwy był wiekiem i poważny urzędem, a powinien baczyć, by królowa nie dawała ucha pokątnym radom harfiarza.

Błąd to zresztą mały, przeważa wszakże na szali niehistoryczności dramatu.

Co do samej budowy dramatu to przyznać należy, że akt pierwszy zbudowany jest prawidłowo i wogóle bardzo dobrze, drugi już nieco słabiej; następne odznaczają się wybitnemi scenami, które same dla siebie są piękne i żywą celując akcyą, między sobą nie są należycie silnie powiązane. Do takich scen zaliczyć możemy siódmą aktu trzeciego, pierwszą aktu czwartego, w której Bothwell, jako prawdziwy szatan, pastwi się nad królową, wyciągając z niej słowo: *zabij króla!* Prześliczna zato nietyle pod względem budowy, ile pięknem treści, stanowiąca wyborny obrazek skończony, jest scena czwarta aktu czwartego. Jest to scena, w której Nick, błazen króla, odkrywa po wyjściu królowej jej tajemnicę: zamiar otrucia króla. Henryk ujęty pięknemi słowami królowej, wierzył jej zupełnie, oburza się na błazna, wyrzuca mu, że chce znowu swą zjadliwością rozbić zgodę małżeńską, chce go nawet dla przykładu drugich skazać na śmierć i pozwala mu wybrać jej rodzaj, a błazen, żartując z swej biedy i błazeństwa, wypija napój, który Marya przygotowała dla Henryka — męża swego. Po wypiciu blednie Nick, siada przy królu i głowę na dłoniach opierając, ulatuje myślą do chaty rodzinnej:

„Widzę tam w końcu sioła, tę chatę ubogą,
Poczerniałe dymem ściany i obraz na ścianie,
A przy obrazie lampa; pies wrót chaty strzeże,
Nad chatą dąb spróchniałe podnosi konary.
O Boże! widzę — widzę — tam mój ojciec stary,
Na progu pług naprawia i mówi pacierze.
Oto matka ze łzami usiadła do przędzy,
Śpiewa pieśni, jak przy mojej kołysce śpiewała...
O! ktòżby! któżby sądził, że pod dachem nędzy,
Urodzi się istota, co się będzie śmiała?"

Myślą i słowy przebiega przeszłość i ciągle wraca do wspomnień o rodzinie, a kiedy już trucizna ostatnie zrywa węzły życia, Nick, błazen królewki, co całe życie dla grosza śmiać się musiał, na głos *synu!* podnosi głowę i z obłąkaniem rzuca ostatnie słowa:

„Synu!... któż mnie woła?
Czy to mój ojciec? — Próżno! tak ciemno dokoła,
Już was widzieć nie mogę — muszę was porzucić!
Och! zostawcie mi miejsce, przyjdę tam do chaty,
Odpoczynę — ja myślałem zawsze do was wrócić...
O! Matko! Matko moja! daj mi inne szaty,
Matko! jak mi źle było na świecie. Oh!..."

U stóp króla, opuszczonego od wszystkich, od żony, niosącej śmierć z słodkiemi słowy, padł błazen nieżywy, skonał ostatni, a może jedyny przyjaciel. Cała ta scena odznacza się niezwykłem pięknem; z opowieści prostej a rzewnej, wydobył poeta bardzo silny, skończenie etyczny efekt. Niezawodnie na obszarze poezyi całego świata, scena

ta pod względem piękna, jak i oryginalności może stać w pierwszym szeregu. Rzecz to niezmiernie trudna, a godna genialnego pióra, wydobyć tak potężny efekt dramatyczny bez najmniejszej sztuczności, bez gonienia za efektem.

W ogólnem rozpatrzeniu pozostaje nam pogląd na charaktery. Kreślenie charakterów to najwyższe zadanie sztuki,—powiedział jeden ze znakomitych estetyków, to też niełatwe jest ono; jako najwyższe zadanie sztuki, jest niezawodnie najtrudniejsze. W każdym razie oprócz wielkiego talentu potrzeba tu studyów z natury, znajomości ludzi i wiele, wiele doświadczenia. Nic więc dziwnego, że pod tym względem dzieło młodego poety nie może być jeszcze wzorowem. Zaraz wszakże w początkach zawodu poetyckiego, przebija w dziełach Słowackiego zbyt czarne zapatrywanie się na świat, nie ma tej miłości ludzi i wiary w nich, które opromieniają dzieła innych poetów. Jeżeli gdzie, to w „Maryi Stuart" odbiło się to usposobienie poety najbardziej. Dziwnie się tam jakoś wszystko składa, a w rezultacie nie ma charakterów czystych, pięknych, rycerskich, dodatnich. W całej sztuce nie spotykamy prawie uczciwego człowieka. Mały wyjątek stanowi paź i Nick, a i ten słowem zgryźliwem, szyderczem, rzuconem w miękkie serce Henryka, w akcie pierwszym, staje się w części winnym zbrodni, których dopuszcza się król. On to zamiast rozweselać króla, powiększa przepaść, dzielącą go od Maryi; dodajmy, że o tym samym Nicku mówi paź, że „skarby święte unosił z kaplicy." Rzecz dziwna, iż na dworze szkockim nie spotykamy ani jednego rycerza. Miał nim być Duglas, ale poeta skrzywił jego charakter morderstwem Rizzia. Gdy Duglas chciał się mścić urazy, wyrządzonej mu przez Rizzia, gdy prosił Henryka i jego dworzan, aby mu zostawili wolne pole do wykonania rycerskiej zemsty, był godzien mieć złote ostrogi, lecz skoro stanął w jednym szeregu z nikczemnymi spiskowcami, skoro w obliczu królowej, kobiety, dopuszcza się takiej zbrodni, nie wart ni ostróg, ni rycerskich piór w szyszaku. Dziwna przytem jest w charakterze Duglasa mieszanina, raz nie słucha błagań i gróźb królowej, mówi, że zabiwszy Rizzia, przywdzieje jego szaty, „wyuczy się roli podłego Włocha" i na dwór królów Francyi pojedzie, a przychodzi ze zgrają pomocników zabijać w pokoju królowej, i w tejże samej prawie chwili mówi:

„Nie, sztyletem nie mogę uderzyć,
Nigdy nie zabijałem sztyletem."

To zakrawa coś na ceregele, lecz jest to tylko fantazya, czy kaprys poety. Ten sam Duglas za chwilę po dokonanej zbrodni prawi morały Henrykowi, sam doznając wyrzutów sumienia i odchodzi ze słowami:

„Królowo! przebacz! przebacz! idę w świat daleki;
Wygnaniec, zbójca podły, niosę piętno zbrodni."

Lindsay, jak echo mówi na to, choć w innem rozumieniu:

„Ci rycerze, imienia rycerzów niegodni,"

a w orzeczeniu tem wiele mieści się prawdy. Ostatnie słowa Duglasa byłyby dobre, gdyby nie następowały bezpośrednio po zbrodni i to w taki sposób dokonanej, gdyby poeta był przeprowadził konsekwentnie całe stopniowanie uczuć żalu i skruchy.

Jak Duglas, którego charakter wahający i zmienny, tak i inne postaci dramatu podlegają tej wadzie. Wogóle widzimy tu pewne łamanie się charakterów, które ztąd może pochodzi, że poeta usiłuje je w sztuce urabiać pod wpływem zdarzeń i namiętności. Wszakże dlatego właśnie wychodzi to na błąd, bo właściwością Słowackiego było wprowadzać na scenę charaktery już urobione, skończone. Łamanie takie okazuje się najwidoczniej na Bothwellu. W pierwszych aktach wygląda on na jakiegoś bajronowskiego bohatera, chcącego zakończyć życie z nudów, z przeżycia, następnie jest skończonym zbrodniarzem. Lecz wróćmy jeszcze raz do tego przedmiotu.

Najlepszy wyjątek stanowi pod tym względem Rizzio, którego charakterystykę przeprowadził poeta bardzo ściśle i jednolito.

Z tem wszystkiem znajdujemy w tych charakterach dziwnie prawdziwe rysy, trafne sądy i spostrzeżenia, że o nich chybaby powiedzieć należało, iż są wykradzione z serca i myśli ludzkiej. Dowodzą one, że młody poeta umiał patrzeć na świat i wiele na nim widział, że umiał dopatrzeć nawet takich rysów, których powierzchowny badacz nie dostrzeże. Wszystkie te rysy odsłaniają wszakże przeważnie czarną stronę życia i dziwić się wypada, zkąd poeta w najtrafniejszych spostrzeżeniach tyle nabrał sarkazmu, ironii i szyderstwa? Dla przykładu przytoczymy tu kilka ustępów.

Jakto poeta odsłania słabostki ludzkie codzienne, gdy pisze:

HENRYK.

O Maryo! czemu nosisz te żałobne szaty?

MARYA.

Tyś chory, chciałam przez to mój smutek wyrazić.

NICK (na stronie).

Więc na to szat potrzeba!

albo:

PAŹ.

Dzisiaj, królowo, spojrzyj w to źwierciadło,
Czy mogłabyś być piękniejszą?...

MARYA.

O! tyś mnie obraził,
Pokazując w źwierciadle moją twarz wybladłą!

I to mówi Marya wtedy, gdy rozmyśla, czy męża jej Bothwell zamordował, czyli też jeszcze nie. W takiej strasznej chwili tak powszednią odkrywa słabostkę.

(D. c. n.)

PAN NAUCZYCIEL.

NOWELLA

BOŻENNY NIEMCOWEJ.

Przekład z czeskiego

przez

Zenona Przesmyckiego.

(Dokończenie.)

III.

Nie mogłam Chwalina zapomnieć i często jeszcze z domu tam zachodziłam, a kiedy raz latem nauczyciel nas odwiedził, to było dla mnie święto.

Ale potem opuściłam dom i sześć lat w Chwalinie nie byłam. Po sześciu latach przyjechawszy do domu w odwiedziny, pytam zaraz co się dzieje z rodziną nauczyciela. Odpowiedziano mi, że stara pani umarła, wnuczka zamąż poszła, a nauczyciel chory.

Pragnąc choć raz go jeszcze zobaczyć, na drugi dzień pojechałam do Chwalina. Przejeżdżając koło owego suchego wzgórza, pod którem było bagnisko, nie byłabym go poznała, cały bowiem pagórek był zasadzony drzewkami, bagno osuszone, drogi wszędzie ponaprawiane i również drzewami obsadzone, jednem słowem okolica Chwalina, zrobiła się daleko przyjemniejszą. Zapytałam woźnicy, jak się to stało, a on mi odrzekł:

— Teraz to tutaj wszystko inaczej, jak za starych gospodarzy. Dawniej nie dbali o nic, woleli wszystko przepić, ale ci młodzi gospodarze, to inne zuchy. A to wszystko ztąd, że mają dobrego nauczyciela; dawniej nikt nawet się podpisać nie umiał, a teraźniejsza młodzież umie pisać, jak jacy pisarze.

Przypomniałam sobie rozmowy nauczyciela i pragnęłam aby każde ziarno, zasiane przez niego, padło na równie urodzajną rolę.

Wjechaliśmy do zameczku, pani Kmotra przyjęła mnie z radością, ale zaraz mi rzekła:

— Przyjechałaś, kochanko, na smutną uroczystość, dziś pogrzeb nauczyciela.

Osłupiałam z przerażenia. Jam się tak cieszyła a tu już nie miałam go zobaczyć żywego.

— Od tego czasu, mówiła dalej Kmotra, jak mu zmarła jego ukochana żona, nie było już w nim życia, jakby mu kto żyły popodcinał. Chorował, chorował, aż przedwczoraj zgasł cicho jak świeca — zasnął w Panu. Było nas tam kilkoro przy jego śmierci, ze wszystkiemi się pożegnał, a uczniom swym kazał powiedzieć, że pozostawia im swoje błogosławieństwo, aby nie zapominali słów jego.

Tak mi opowiadała pani Kmotra i płakałyśmy obiedwie.

Popołudniu poszłyśmy do szkoły, gdzie ze łzami przyjęły nas synowa nauczyciela i zamężna jej córka.

Leżał w trumnie kochany ten staruszek, jakby spał, błogi spokój rozlany był na jego pięknej twarzy, której nigdyśmy rozgniewanej nie widzieli, białe włosy spływały mu na czarną śmiertelną koszulę, a ręce, które nigdy nas chętnie nie karały a tylko błogosławiły, złożone były na piersiach, trzymając krzyżyk. Około ciała wszędzie były powtykane obrazki i kwiaty, — dary to wdzięcznych uczniów i uczenic.

W izbie, przed domem, wszędzie stały tłumy ludu.

Tu nagle rozstąpili się ludzie i do pokoju wbiegli dwaj młodzieńcy w podróżnem ubraniu. Obaj rzucili się na trumnę i płacząc całowali ciało i ręce swego dobroczyńcy. Nie mogli się od trumny oderwać i tylko żałowali, że ojca swego przy życiu już nie zastali.

— Kiedym widziała, że ojciec kończy, szeptała mi synowa nieboszczyka, chciałam do tych chłopców napisać, bo wiem jak go kochali, ale ojciec nie chciał, aby się odrywali od swego zajęcia, aby sobie myśli nie zamącali. Dosyć jestem wynagrodzony tem, że wyszli na porządnych i uczciwych ludzi! mówił, a gdy śmierć się zbliżała, rzekł: Oto skończone już me zadanie; umrę spokojnie dzię-

kując Bogu, że błogosławił pracy mojej! i to były ostatnie jego słowa.

Jak cmentarz cmentarzem, nigdy na nim nie było tyle ludu i tyle płaczu jak na pogrzebie pana nauczyciela, dziwna, że jeden drugiego nie zadusił. Na murze cmentarnym siedziało pełno dzieci, które nie mogły przetłoczyć się do grobu przez tłum ludu, na mur wylazły. Nad grobem miał ksiądz proboszcz wzruszającą mowę, w której przypomniał zgromadzeniu cały przebieg życia nieboszczyka, jak będąc synem zamożnych rodziców poświęcił się naukom, w których znakomite robił postępy. Ale po kilku latach rodzice jego z nieszczęśliwych okoliczności stracili cały swój majątek i oboje z tego umarli. Nie mając środków do dalszego kształcenia się, poświęcił się nauczycielstwu. Będąc lat kilka w jednym zamożnym domu za guwernera, dostał na wsi miejsce pomocnika, gdzie wiele cierpiał, poglądy jego bowiem na zawód nauczycielski zupełnie się nie zgadzały ze sposobem postępowania i metodą nauczania prostego, nieokrzesanego tego nauczyciela. Jednak wytrzymał przy nim dwa lata. Ztąd dostał się na lepszą posadę do miasteczka w górach, gdzie poznał swoją ukochaną Weronikę, z którą się później, zostawszy nauczycielem w szkole wiejskiej, ożenił. Oboje biedni mieli dobrze o czem myśléć przy skromnych dochodach; poprzednik pana nauczyciela grywał po gospodach, chodził po kolędzie, sobotalesu nie darował nikomu i myślał tylko o tem, jakby przyjść do pieniędzy. Lecz pan nauczyciel inaczej się zapatrywał na honor i powagę swojego powołania i wolał cierpiéć niż sprzeniewierzyć się jej, a Weronika z nim. Młodzi byli, kochali się, a miłość uczy cierpliwości, znieśli więc wszystko. Więcej go trapiło, że nie mógł swych poglądów przeprowadzić i przy najlepszych chęciach nie mógł tak działać jakby pragnął. Ze wszech stron stawiano mu przeszkody, a największa była głupota i nierozum samych rodziców. Nie mogąc ich przezwyciężyć i nie mając nikogo ktoby zgadzając się z nim chciał mu pomagać, prosił o przeniesienie i dostał się do Chwalina.

Tu szło mu doskonale. Żył spokojnie wykonywając obowiązki swojego powołania z największą sumiennością całe lat trzydzieści. W tym czasie spotkał go cios bolesny przez śmierć ukochanego syna a w ostatnich latach i drogiej Weroniki, tej wybornej żony, która od ołtarza aż do śmierci wierną dłań była pomocnicą. Małżonkiem i ojcem był przykładnym, chrześcianinem nabożnym, nauczycielem doskonałym.

Tak mówił wielce szanowny ksiądz proboszcz wzruszonym głosem nad grobem zmarłego swego przyjaciela — i nikt z całego zgromadzenia nie miał suchych oczu.

Gdy dwaj wychowańcy i czterech młodych gospodarzy trumnę do grobu spuścili, głośno zapłakały dzieci wołając:

— Ach, nasz dobry nauczyciel!

Czuły one jak ja i wielu, wielu innych, że składają do grobu serce, które żyło więcej dla dobra swych bliźnich, niż dla swego własnego.

Marmurowy krzyż ze złotym napisem, ocieniony gałęziami jesionu, wznosi na wspólnym grobie jego i Weroniki, ale piękniejszy i trwalszy jest ten pomnik, który sam wystawił sobie w sercach swych wdzięcznych uczniów i uczenic.

KONIEC.

WYSTAWA SZKICÓW
w Salonach Towarz. Zachęty Sztuk Pięknych.

Towarzystwo Zachęty Sztuk Pięknych w roku 1884 z powodu że dom pobernardyński z posiadania rządu przeszedł w inne ręce a mianowicie Muzeum przemysłowo-rolniczego, zmuszone będzie opuścić dotychczasowo zajmowane lokale i starać się o inne pomieszczenie. Wobec tej konieczności Towarzystwo powzięło zamiar wybudowania własnego domu, lecz gdy fundusze okazały się za szczupłe, przeto postarano się obmyślić środki do zebrania kapitału na budowę gmachu w którymby Towarzystwo stałe znaleźć mogło pomieszczenie. Wyjednano więc pozwolenie zbierania składek publicznych w ciągu lat trzech a to do wysokości 100,000 rs.

Mimo najgorętszego nawet zajęcia się przez ogół tą sprawą, wobec innych spraw ważnych i palących trudno przypuszczać, aby taka suma zebrać się dała li tylko na drodze składek; przewidując to, postanowiono niezależnie od owych składek użyć i innych środków. Wskutek też tego adwokat przysięgły p. Bardzki na dorocznem posiedzeniu odbytem w marcu przedstawił następny projekt:

1. Aby Towarzystwo zakupiło część gmachu starej Poczty.
2. Aby wydało członkom akcye po 100 rs. właściciele których wraz z rodziną mieliby prawo zwiedzania bezpłatnie wystawy Towarzystwa i uczestniczenia w odbywanych losowaniach.
3. Aby Towarzystwo urządziło na wielką skalę loteryą obrazów, z której czysty zysk dałby możność pobudowania własnego gmachu.

Projekt ten jednak podany już na posiedzeniu, nie był oddany pod głosowanie ogólne, lecz wziął go pod rozpatrzenie komitet Towarzystwa, który uznał go pod wielu względami za dobry, lecz jak na teraz niemożliwy do wykonania, (dlaczego?) i dlatego też z urzeczywistnieniem projektu postanowiono czekać przynajmniej do roku przyszłego: tymczasem jednak nim składki się rozpoczną, artyści-malarze i rzeźbiarze ofiarowawszy na rzecz budowy gmachu swoje prace, urządzili „Wystawę szkiców” z której dochód stanowić ma zaczątek funduszu budowlanego.

Tak urządzenie wystawy, jak i ofiarowanie obrazów na sprzedaż dla otrzymania funduszów potrzebnych, jest dzielnym środkiem i świadczy o solidarności artystów naszych i dbałości o popieranie instytucyi tak pożytecznej. Uroczyste otwarcie „Wystawy szkiców” nastąpiło też w dniu 14 b. m., a to wobec licznie zgromadzonych dziennikarzy, artystów i członków Towarzystwa, aczkolwiek bez osobistego współudziału prezesa Towarzystwa, na którą to okoliczność zwrócono uwagę. Akt tak ważny nie powinien był być traktowany po macoszemu. Sama grzeczność ze strony Towarzystwa wymagała tego — bo nie Towarzystwo artystom, lecz artyści Towarzystwu robią łaskę ofiarując swe prace! Lecz mniejsza o to, wystawę i bez współudziału panów prezesów, wice prezesów i t. d. otworzono w nadziei, że publiczność licznie ją odwiedzać zechce.

Kilkudziesięciu artystów ofiarujących swe prace na wystawę i sprzedaż po cenach bardzo przystępnych, stanęło skwapliwie do apelu: inni zaś nadsyłają jeszcze, a między temi będą i dzieła takich jak: Matejki, Siemiradzkiego, Kossaka, Brandta, Chełmońskiego i innych z Monachium, Paryża, Krakowa, Petersburga i t. d. Na wystawie otwartej w dniu 14 b. m. znajdują się już obrazy olejne, akwarele, rysunki, rzeźby, szkice architektoniczne i t. d. a mianowicie: Bagińskiego, Dulembianki, Dukszyńskiej, Gersona, Głębockiego, Hadziewicza, Malinowskiego, Malczewskiego, Breslauera, Oksińskiego, J. I. Kraszewskiego, Masłowskiego, Muklanowicza, Fechnera, Żmurki, Millera. Kryńskiego, Jasińskiego, Mireckiego, Cichockiego, Perla, Piwnickiego, Rodakowskiego, Römerów, Wandalina Strzałeckiego, Urbańskiego, Lessera, Maleszewskiego i t. d. i t. d. Z pośród 160 prac różnorodnych naszych artystów, szczególną zwróciły na siebie uwagę Witolda Urbańskiego „Głowa kobiety” olejno prześlicznie odmalowane studyum, wykazujące jak wielkie postępy poczynił młody ten artysta i to w stosunkowo dosyć krótkim czasie. Praca jego bardzo staranna, pełna chlubnych zalet stwierdza w nas to przekonanie, że niebawem imię p. Urbańskiego doczeka się szerszego rozgłosu. Obrazy olejne Tytusa Maleszewskiego: „Żebrak”, Oksińskiego „Lisowczyk”, Fechnera „Wnętrze lasu”, dalej akwarele: W. Malinowskiego „Wschód i zachód słońca”, Wandalina Strzałeckiego „Klucznik”, Magdaleny Andrzejkowicz „Włoszka” oraz oznaczone Nr. 141, 142 i 145 zwracają powszechnie na siebie uwagę i są jak dotąd prawdziwą i cenną ozdobą wystawy. Rysunek kredkowy Ż. Jasińskiego „Portret Modrzejewskiej”, również do liczby powyższych prac zaliczony być może, będąc nadzwyczaj miękko i starannie wykonany tak jak i główka kobieca tuszem przez S. Kostrzewskiego. Obok tych pięknych rzeczy znajdują się tam jednak i utwory słabsze świadczące tylko o dobrych chęciach ofiarodawców. Do liczby tych zaliczyć można akwarelę: „Wręczenie szabli Sobieskiemu”, przypominającą iluminowany sztych niemiecki, sprzedawany we wszystkich jarmarcznych kramach. „Czytanie wyroku”, „Watażka hajdamacki” i jeszcze kilka innych. Ceny pomieszczone na obrazach olejnych, akwarelach i szkicach są więcej niż przystępne, dlatego też sądzić można napewno, że publiczność chętnie pospieszy z rozkupieniem ofiarowanych prac, przyczyniając się tym sposobem do utworzenia początkowego funduszu na budowę przybytku sztuki.

Nie Van Dick.

PRZEGLĄD LITERACKI.

Z dziejów dawnej Polski. Studym historyczne p. *Michała Jezierskiego.*

We wstępie do tej pracy oświadcza autor że nie jest ani historykiem z powołania, ani też profesorem, lecz tylko Polakiem, który: „jako członek tego narodu umie swój pacierz i zna swoją historyą.” A więc na zasadzie tego i gdy niby pod hasłem „Prawda nas zbawi” zaczęto ze stanowiska XIX wieku zapatrywać się na ubiegłe wieki i wedle dzisiejszych pojęć oceniać i roztrząsać rozwijające się pierwiastki życia narodowego zarzucając potomności, że nie tak myślała i czuła jak dziś czujemy i myślémy, nadto gdy szukając prawdy zaczęto na jaw wydobywać wszystkie błędy doprowadzając do

przekonania, że wszyscy prawie królowie byli niedołężni i t. d. i gdy nakoniec pod takim wpływem 1879 r. napisane i wydane zostały: Dzieje Polski Bobrzyńskiego, wtedy p. Jezierski umyślił „choć nieudolnem piórem" sąd ten sprostować i „okazać w czem widzi omyłki w dziele Bobrzyńskiego." Ze wstępu tego, którego osnowę tu podajemy widzimy, że dzieło p. Jezierskiego jest historyczno-polemiczne i że autorowi głównie chodziło o sprostowanie mylnych pojęć szerzonych na kartach dziejów przez nowoczesnych historyków. Zadanie piękne i wzniosłe lecz czyż na 256 stronicach możem mu sprostać?

W 19 rozdziałach mniej lub więcej treściwych, p. Jezierski prostuje omyłki popełnione przez p. Bobrzyńskiego, a prostując je opiera się tylko na własnem zdaniu i własnem rozpatrywaniu, niczem a raczej żadnemi źródłami nie popierając takowych, i tym sposobem wywołuje w czytelniku wrażenie poczciwego gawędziarza, który nie sięgając głęboko i szeroko, mówi tylko to co serce jego czuje. Z tego też względu zaintytulowanie tej pogawędki „Studyum historycznem", uważamy za mniej niż właściwe. Pomijając jednak tę niewłaściwość rozpatrzmy się w przeprowadzeniu całości i poznajmy się z treścią pojedyńczych rozdziałów. W rozdziale pierwszym: „Jaki byłby najstosowniejszy podział dziejów naszych na epoki", po określeniu sposobem aforyzmów czem jest historya każdego narodu? i wykazawszy jakich zasad nasi historycy trzymali się dzieląc historyą naszą na epoki i wyjaśniwszy kilku słowami, że dotychczas praktykowany sposób podziału na epoki nie jest słuszny, bo „bohaterskie czyny lub zmiany rodów panujących nie spowodowują zbyt wybitnych zmian w duchowem życiu narodów," przedstawia nowy system podziału naszych dziejów na epoki a mianowicie: 1. Rządów patryarchalnych, przedchrześciańskich, 2. Rządów monarchicznych, 3. Rządów możnowładnych czyli oligarchicznych, 4. Rządów szlacheckich i 5. Równości stanów. „Epoki takie,—powiada p. J.—oznaczać latami, twierdzić stanowczo, że w tym roku przewrot państwowy się dopełnił, jest rzeczą zupełnie niemożliwą." W dalszym rozwoju tego rozdziału p. J. treściwie przebiegając dzieje narodu, naszego uzasadnia swój system na podstawie rozwoju dziejowego twierdząc, i nie bez słuszności, że „rozwijanie się tak duchowe jak i polityczne naszego narodu, miało swoją konsekwencyą logiczną."

W następnym rozdziale „Stosunek kościoła z państwem", autor przebiega w nader treściwych słowach niemal całe dzieje Papiezmu, wystawiając zarazem jaką władzę posiadali papieże a wskutek tego jaki wpływ wywierali na losy królów i krajów. „Potrzeba opieki Rzymu była logiczną koniecznością, bez której w owych wiekach nie znalezionoby możności oparcia się sile materyalnej, nie zdołanoby popchnąć ludzkości drogą postępu." W konkluzyi tego rozdziału i licznych wywodów p. J. tak mówi: „gdyby nie siła moralna Rzymu, gdyby nie państwa czysto katolickie jak Francya i Polska, Rzym stałby się oddawna germańską prowincyą. Wprowadzenie zaś chrześciaństwa do Polski ze strony germańskiej przez orężnych margrabiów, zgubny wpływ na Lechią wywarło i żywioł germański był w życiu naszem siłą ujemną—tak jak katolicyzm dodatnią. Duchowieństwo też nasze zająwszy stanowisko między narodem a królami, spełniało wielką misyą, której przewodniczyli papieże."

W rozdziale zaś zatytułowanym: „Wprowadzenie chrześciaństwa i germanizm" spotykamy się z nowem zupełnie twierdzeniem opartem na „świadectwie pisarzy i historyków" (jakich?), które p. J. głosi, utrzymując że światło wiary o wiele wcześniej niż w IX wieku wcisnęło się między Słowian, bo św. Tertulian wspomina, że w najodleglejszych czasach u Scytów, czyli na północnych kresach słowiańskich, chrześciaństwo się rozpowszechniało i że podania (?) kościelne mówią o św. Andrzeju uczniu Chrystusa „jakoby ogłaszał Jego naukę Rusinom i Lachom" (!!!). Tak załatwiwszy się z błyskami wiary Chrystusowej u Słowian, autor podaje jakoby mniemano iż śś. Cyryl i Metody chrzcili Rusinów (?!) a św. Wojciech Polaków (?!!). Dalej zaś pisze, że dopiero przed Mieczysławem w Wielkiej Polsce dojrzeć można „ślady" chrześciaństwa, „Aniołów zjawiających się u Piasta, Ossoliński uważa za Jana i Pawła, księży wysłanych od Świętopełka, gdy drudzy w tych aniołach upatrują Metodego i Cyryla". Tymczasem jak najnowsze badania Legera, Maciejowskiego i Bielowskiego wykazują, byli to uczniowie apostołów Cyryla i Metodego, Wiznoj i Osław.

Dalej wiadomą jest rzeczą że Dąbrówka namówiła małżonka swego nie do przyjęcia wiary Chrystusowej, lecz do „powrotu" na łono chrześcianizmu, gdyż Mieczysław dziecięciem będąc był przez swą matkę ochrzczony i później popadł w bałwochwalstwo. Germanie tymczasem w pogańskich jeszcze krajach, zaczęli swą władzę i chrześcianizm narzucać przemocą, z przyjęciem zaś chrześcianizmu przez Lechią, ucisk ten zmniejszył się, jednak nie tak łatwo przyszło Lechii pozbyć się przewagi germańskiej. Tu autor rozwija przed nami przebieg dziejów rozwoju germanizmu u nas w Polsce, wspomina o zakonie teutońskim, o szpitalnikach i t. d. oraz wykazuje i inne drogi, któremi Germanizm Polskę zalewał. W całym tym rozdziele a mianowicie drugiej jego połowie, autor rozwija z wielką erudycyą przyczyny i skutki szerzącej się w Polsce germanizacyi, której przeciwnem było duchowieństwo usiłujące powstrzymać zgubny ten potok. Po takim rozbiorze p. J. przechodzi do systemów historycznych, w którym kilku słowami wspomniawszy o kronikarzach i historykach naszych, przystępuje do właściwego założenia a mianowicie, że naginanie faktów historycznych do obmyślanego *a priori* systematu, może być pracą filozofa ale nigdy historyka! System Lelewela znalazł naśladowców: Moraczewskiego, Wróblewskiego, Schmitta, Szujskiego, Morawskiego i innych, dzieła też ich podniosły zamiłowanie swobody i korzystnie wpłynęły na uszlachetnienie i uzacnienie narodu.

(D. c. n.)

Z KRAJU I Z ZAGRANICY.

*** Z pisma „Chaff", wychodzącego w Detroit stanie Michigan Ameryki północnej, dowiadujemy się, że tam przebywa rodak nasz Jarosław Zieliński słynny na Amerykę pianista, będący obecnie dyrektorem muzycznym „Fairemont Colege", który już roku 1863 w Filadelfii zdobył sobie sławę znakomitego muzyka. Szeroko też o nim rozpisują się pisma amerykańskie jak „New York Gazette" nie mając dosyć słów do pochwały jego gry iście mistrzowskiej, w której go jedynie Liszt przewyższa. Tenże Jarosław Zieliński w zeszłym miesiącu dnia 25 kwietnia w Saginaw wydał koncert z uczniami swymi, w którym wziął także udział znakomity tenor p. Slocum, dnia zaś 3 maja p. Zieliński ze współudziałem Emmy Forsyth sopranistki, Balconia skrzypka, Holmosa basisty i Hunta pianisty, dał koncert w Joniu stanie Michigan o którym właśnie „Chaff" bardzo pochwalnie pisze. O ile nam wiadomo p. Zieliński na jesieni r. b. ma zamiar przybyć do Europy celem odwiedzenia swej rodziny a zarazem dania się poznać jako muzyk.

*** Od dwóch tygodni Warszawa może podziwiać ostatni utwór Matejki „Hołd pruski", wystawiony w Salonie Ungra. Jest to obraz dorównywający wielkością „Bitwie pod Grünwaldem" pełen dziejowych postaci, odtwarzający nieobliczony w następstwa fakt historyczny. Wielki nasz mistrz obdarzony boską iskrą geniuszu, przenika duchem swym zamgloną przeszłość, wtajemnicza się w dzieje narodu i cudownym swym pendzlem odtwarza i wskrzesza najwybitniejsze epoki naszej historyi, ucząc jej nietylko swoich ale i obce narody. Widocznie genialny mistrz wziął sobie za zadanie przedstawiać i przypominać plastycznie najpóźniejszym pokoleniom, czem byliśmy.

„Hołd pruski" łączy w sobie piętno właściwe obrazom Matejki, nawał pomysłów, mnóstwo postaci i grupowanie ich w niezwykłych postawach. Wpatrując się w obraz, każdy znajdzie jakąś ulubioną sobie postać. Jednych zachwyca grupa z lewej strony z Kościelskim na czele, inni środkiem obrazu w którym znajduje się Zygmunt, Albrecht i Bona. Góruje jednak nad innemi podniosłością myśli grupa umieszczona po prawej stronie widza. Rozwiana szeroko karmazynowa flaga pociąga wzrok, rzucając zarazem jakiś blask na otoczenie; twarz Tenczyńskiego wzniesiona w górę, oderwana od rzeczywistości obecnej chwili, zdaje się wywoływać pamięcią przeszłość i przewidywać przyszłość. Twarz biskupa Tomickiego uwydatnia spokój przedstawiciela władzy kościelnej, mierzącego sprawy i czasy nadprzyrodzoną miarą, nieolśnionego świetną niby chwilą obecną, czującego kruchość tych hołdów i przysiąg, przeczuwającego że są płaszczykiem jakichś nędznych intryg. Poniżej widzimy Stańczyka, filozofa w błazeńskiej czapce, z podpartą przechyloną nieco głową; patrzy gdzieś w przestrzeń nasłuchując słów przysięgi hołdowników. Jest to postać tak wybornie pojęta i wykonana, iż sama jest już arcydziełem.

W jednym z dzienników krakowskich p. Henryk Kieszkowski podaje myśl aby obraz ten zakupić ze składek narodowych i umieścić w Sukiennicach. „Kuryer Warsz." podaje następujący piękny wiersz p. Włodzimierza Stebelskiego, jakim natchnął poetę widok obrazu genialnego mistrza.

W złotokanej dalmatyce Zygmunt pierwszy siadł,
Przed nim Albrecht, książę pruski, na kolana padł.
Król oblicze ma szlachetne i ma gest Cezara,
Prusak smutny i zgnębiony... Sen to czyli mara?

Czyliż była kiedy chwila, że pokorny hołd,
Składał krzyżak, co lancknechtów zewsząd brał na żołd,
Aż przed naszą upadł szablą, naszą szablą słynął! —
Patrz na obraz mistrza Jana!... Czemużto tak dawno!...

Ni dziejowych pamiętników pogrobowa pleśń,
Ni chórałów narodowych rozmodlona pieśń,
Nie opowie z taką siłą, z ciepłą, żywą siłą,
Jak ten Albrecht wtedy klęczał, jak to wtedy było!

Patrz na kniazie i hetmany, na wojenną straż,
Co w krwi bitew, mieczem kryła wielki sztandar [nasz,
Patrz jak stoją posągowo w malowniczym rzędzie,
Jakie stroje... Co tam stroje! Jakie żyły wszędzie!

Kościelecki, Lanckoroński... Ileż siły tam!
Jedną pięścią zwalą zamki stu niemieckich bram,
Każde ramię to jest Grünwald, czaszek stu znisz- [czenie!..
Z wytężonym pytaj wzrokiem: Gdzież to pokolenie?

Cisza... Niema prawie cisza była wzdłuż i wszerz,
Gdy przysięgał książe pruski na chrześciański krzyż,
I w stalowej jego zbroi wszyscy wzrok utkwili...
Albrecht przysiągł! Oni wierzą... Czemuż mu wierzyli?

Jeden tylko Stańczyk, błazen, u królewskich stóp,
Ostre swe zawrócił oczy, nic nie mówiąc, w słup,
I jakoby nieprzytomny oczy swe wyszczerzył...
Co on myślał? Myślał wiele! On jeden nie wierzył!

A więc czemuż nie krzyknąłeś, nie gwizdnąłeś ty,
Jako w całej klątwie pruskiej nie ma prawdy krzty!
Jako trzeba miecze ostrzyć w czujnem pogotowiu,
Zamiast na ojcowskiej sławy słodkiem spać we- [zgłowiu.

Przed obrazem mistrza Jana, jak zaklęty stój,
I legendę pruskich hołdów ty w zachwycie snuj,
Potem w bólu toń w późniejszych ziemi twej ko-
Klęknij, zapłacz, módl się... [lejach,

*** Górnik Piotr Megdany z Górnego Szlązka, pracujący w kopalni Nenescuh, w Stanie Michigam, w Północnej Ameryce, napisał na ręce p. Stablewskiego list do koła polskiego w Berlinie, w którym donosi o sobie i zapytuje: kto też w obwodzie bytomskim obrany został posłem do Parlamentu, czy ks. prałat książę Edmund Radziwiłł się utrzymał, czy też zwyciężył jego przeciwnik. „Naprzód ich przepraszam, niech mi darują, że się ośmielam pisać do szanownych posłów po naszej stronie. Ja mam zatrudnienie w górnictwie, ale jak czytam o szanownych Panach po naszej stronie, to mi serce tak żałośnie płacze, iż nie mogę przeczytać przed łzami." (Biedny Górno-Szlązak tak pisze: to mi serce tak żażznie płace, iż nie mogę przecytac pzet uzami.) Żali się że musiał rozłączyć się z rodziną, że człowiek tak musi po cudzym „landzie" się zmykać i gonić za tym biednym, ciężkim, opłakanym groszem. Jest prawda że Ameryka lepiej płaci górnikom jak Prusy — ale któż zestarzeje się w górnictwie amerykańskiem? Żaden, bo nie może wytrzymać, najdłużej 3 — 4 lat, bo taka ciężka robota. A gdybyż przez te trzy lub cztery lata mógł tyle zarobić, coby potem mógł jakie gospodarstwo założyć! Ale gdzie tam nie zarobi tyle i zmarnuje się. Tak to, szanowni panowie na ławach polskich. Brawo wam! ale nam tu biada! Oj! tęskno i smutno Polakowi na „obcym landzie" — lepiej się trzymać swego kącika."

*** Od lat dwudziestu istnieje w Paryżu zakład dla wspierania Polaków złamanych wiekiem, pod nazwą „Instytucya czci i chleba" w której przewodniczącym jest sławny śpiewak Ukrainy, sędziwy wieszcz Józef Bohdan Zaleski. Dochody tej instytucyi wynosiły w ciągu r. z. 28,310 fr., rozchód 18,340 fr. Od czasu jej powstania przychód wynosił 431,348 fr. rozchód 344,580 fr. Zapomoga udzielona jednej osobie nie może przechodzić 200 franków.

*** Pruski urzędnik stanu cywilnego Schramm, odmówił kupcowi ze Zbaszynia, p. Żołnierkiewiczowi, wpisania do akt stanu cywilnego imienia Kajetan, jakie p. Ż. chciał na chrzcie św. nadać swemu synowi, tem tłomacząc swój opór „że w przepisce od rejencyi nie ma imienia Kajetan". Już więc w Poznańskiem nietylko zmieniają nazwiska ale pragną jeszcze narzucać urzędowe imiona. Nie przystając na motywa pana urzędnika, p. Ż. odniósł się do wyższej władzy — ciekawa rzecz co świetna rejencya odpowie na jego skargę...

*** Straszna klęska dotknęła kilka miejscowości w powiecie bystrzyckim (Habelschwedt) na Szlązku pruskim, wskutek ogromnego gradu i oberwania się chmury. Dnia 5 b. m. około 5-ej po południu, z chmur, które nadciągnąwszy z Czech, spiętrzyły się w dolinie Bystrzycy, spadł grad wielkości jaj gołębich i kurzych, który poprzebijał dachy i zniweczył zasiewy. Zupełna ciemność zaległa do koła; wśród huku drzew wyrywanych z korzeniami i wywracanych domów, nie słyszano krzyku nieszczęśliwych zagrożonych powodzią, którym wogóle nie można było nieść pomocy. W przeciągu pary godzin, zupełnie zniszczone zostały dwie wioski leżące w górskim wąwozie, przytem 11 ludzi utraciło życie, 20 sztuk bydła padło ofiarą rozhukanych żywiołów, 8 zagród znikło bez śladu, a 11 domów i gospodarstw musiano rozebrać, gdyż każdej chwili groziły zapadnięciem. Prócz tego jeszcze 17 innych gospodarstw jest nadzwyczaj uszkodzonych. Zniknął strumień płynący przez wieś i ciągnąca się obok niego droga, a ich miejsce zajęła szeroka i głęboka otchłań, z której sterczą drzewa i najrozmaitsze sprzęty, pomieszane z kamieniami i urwiskami skał. Władze miejscowe gorliwie zajęły się uprzątnięciem drzew i kamieni, lecz jest ich tak wiele iż praca ta zapewnie długo bardzo potrwa.

*** Dzienniki francuzkie piszą wiele o obrazie jaki malarz Layraud wykończa na wystawę w Salonie paryzkim, zapowiadając że „zrobi furorę" i prawdopodobnie będzie najcelniejszą jéj ozdobą. Artysta ten długo przemieszkiwał w Portugalii, i za przedmiot do swego obrazu wziął dramatyczną legendę o słynnej de Castro z XIV wieku. Wiadomo, że ta ulubienica don Pedra, syna Alfonsa IV przybyła z Galicyi hiszpańskiej na dwór portugalski, w charakterze damy honorowej infantki Konstancyi. Była to piękność tak cudowna i zachwycająca, iż równej nie było na całym półwyspie iberyjskim, to też wzbudziła bezgraniczną miłość w sercu don Pedra, który i za grobem wierny pozostał zamordowanej kochance. Wstąpiwszy na tron, don Pedro dokonał zemsty; kazał sprowadzić do Santarem morderców Inezy, gdzie w jego oczach zginęli w strasznych męczarniach. Następnie rozkazał wydobyć z grobu zwłoki ukochanej, przyodziać je w szaty królewskie i wystawić w sali tronowej w postawie stojącej. Wszyscy dworzanie musieli z wielkim ceremoniałem składać hołd pogrobowej królowej i całować zlodowaciałą jej rękę. Tę chwilę malarz obrał za przedmiot do obrazu. Po ceremonii ucałowania ręki, zwłoki z królewskim przepychem pochowane zostały. Bodaj to nasz Matejko — on nie potrzebuje uciekać się do przedmiotów przejmujących wstrętem i zgrozą, aby jak najżywsze budzić wrażenia.

NOWE WYDAWNICTWA.

Podręcznik do nauki języka angielskiego w 24-ch lekcyach bez pomocy lub z pomocą nauczyciela, przez P. Reussnera opuścił w tych dniach prasę.

Dzieło powyższe przeznaczone wyłącznie dla samonauki obejmuje: objaśnienia wymowy pojedyńczych wyrazów: najpotrzebniejsze prawidła gramatyczne z ćwiczeniami do nich zastosowanemi, klucz do rozwiązania polskich ćwiczeń, a w reszczie zbiór najpotrzebniejszych wyrazów w codziennem użyciu podzielonych na kategerye. Cena dziełka kopiejek 75.

Smaczne ciasta, przepisy przygotowania rozmaitego rodzaju ciast drożdżowych i bez drożdży, oraz tortów i mazurków. Wyprobowane i podane przez Paulinę Szumlańską autorkę „Skrzętnej gospodyni".

Słownik Geograficzny Królestwa Polskiego i innych krajów Słowiańskich, zeszyt 29 tomu 3-go wyszedł z druku i zawiera góry Iwanówka w powiecie Kołomyjskim, aż do Janichowa dóbr rycerskich w około Gdańska położonych. Cena każdego zeszytu kop. 50.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Pani H. w Łodzi. Autorka artykułu „Myśli o stowarzyszeniach" mieszka w Warszawie i zajmuje się zawodem nauczycielskim.

Zawiadomienia.

Polki wyjeżdżające do Paryża, celem wykształcenia się w obranych przez siebie zawodach mogą znaleść u jednej z rodzin polskich w tem mieście: mieszkanie ze stołem, usługą i prawdziwie rodzicielską opiekę. Bliższą wiadomość o warunkach nader przystępnych, można powziąć w Warszawie w Redakcyi Tygodnika Mód i Przyjaciela Dzieci. Widok Nr. 3.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ Варшава 12 Мая 1882 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek.

LABIRYNT.
(Within The Maze.)

Przez

MISTRES H. WOOD.

(Dalszy ciąg.)

Drażniło ją niewymownie że sir Karol z tak zimną krwią rozmawiał z nią o tem, gdyż uważała to za najwyższą dla siebie zniewagę; to też coraz więcej oburzała się i gniewem unosiła przeciw niemu.

— To też ta obawa rozgłosu zabija mnie, Łucyo, odrzekł z nader boleśnem wzruszeniem... ale wierzaj mi nie jestem tyle winnym jak sobie wyobrażasz... Pozwól abym ci opowiedział wszystko od początku, a przekonasz się...

— Ani słowa o tem! zawołała; nie opowiada się podobnych rzeczy — zresztą nie chcę tego słuchać.

— Jak ci się podoba — nie mogę cię przymusić. Dość dotąd napotykałem ostrych cierni na drodze życia... nie przypuszczałem jednak nigdy, iż jeżliby to doszło kiedyś do twojej wiadomości, osądzisz mnie tak okrutnie i niemiłosiernie, powiększając tem jeszcze ciężkie brzemię moich udręczeń i niepokojów.

— Więc to zapewnie dla Labiryntu mamy ograniczać się w wydatkach? rzekła, przyciskając ręką gwałtownie bijące serce.

— Tak, Łucyo. Pojmujesz sama iż rzeczywiście...

— Dość! dość o tem! zawołała unosząc się, nie chcę słuchać nic więcej!

Karol bacznie wpatrzył się w twarz żony: czy podobna aby jego łagodna i kochająca Łucya przemawiała tak do niego? Westchnął ciężko i rzekł po chwili milczenia:

— Spodziewam się, Łucyo, że za dni parę, gdy ochłoniesz nieco z przykrego wstrząśnienia, nie, tak surowo i bezlitośnie sądzić mnie będziesz. Jesteś moją żoną i nie mogę, nie chcę wyrzec się siebie, gdyż nie istnieje żaden usprawiedliwiający to powód... Jestem przekonany że po głębszej rozwadze, sama żałować będziesz ostrych słów jakie mi powiedziałaś.

— Chciej wysłuchać mnie, sir Karolu, zostawiam ci wybór. Tylko na warunkach podanych przezemnie pozostanę pod twoim dachem, i warunki te obustronnie święcie dotrzymane być muszą, lub w przeciwnym razie opuszczę dom twój oddając się pod opiekę ojca — a w takim razie zniewolona będę powiedzieć mu co mnie do tego skłania. Powtarzam zostawiam ci wybór.

— Czy rozważyłaś następstwa podobnego kroku?

— Tak, musiałoby to rozgłosić się i wywołać skandal którego uniknąć pragnę — nie ja więc będę winna jeżli do tego przyjdzie, skoro wybór zależy od ciebie... Uprzedzam tylko że postanowienie moje jest niezłomnem.

Sir Karol ścisnął rękami rozpalone czoło — cierpiał niewymownie. Widział brak serca w postępowaniu żony, ale musiał poddać się jej wymaganiom, z obawy następstw jakie rozgłos pociągnąłby za sobą. Stanęło więc na tem że mają żyć pod jednym dachem, jeżli nie jak wrogowie to przynajmniej jak obcy sobie. Kilka minut jeszcze rozmawiali z sobą ale ciągle pod wpływem najzupełniejszego zobopólnego nieporozumienia, którego ani spostrzegli ani domyślali się nawet. I tak pozostać miało. Było to jedno z tych bolesnych wydarzeń nie jednokrotnie przytrafiających się na świecie; wzajemna pomyłka o którą żadnej strony winić nie można, a jakie niekiedy do grobu sprostowane i wyjaśnione nie zostają.

I serce Łucyi bezmierna szarpała boleść. Kochała namiętnie męża, to też ochłonąwszy nieco w chwili rozstania, rzekła zanosząc się od płaczu:

— Czy nie mógłbyś wydalić z Labiryntu?...

— Chciałbym szczerze jeżli to będzie możebnem, ale tysiące przeszkód staje mi w tem na zawadzie... mam więc związane ręce... Dobranoc Łucyo, nigdy nie przypuszczałem że potępisz mnie tak srodze.

Podali sobie ręce i rozeszli się. Tak więc ugoda stanęła — zaczęła się separacya. Odtąd żyli z sobą rozłączeni, nikt jednak w domu nie domyślał się tego. Nawet miss Blake żadnych pod tym względem nie miała podejrzeń, nie dostrzegła żadnej zmiany w zachowaniu się z sobą sir Karola i Łucyi. Spotykali się przy stole, oboje zajmowali się domem, zawsze jak najuprzejmiejsi dla siebie. Po upływie kilku dni, Teresa rzekła do lady Andinnian.

— Spodziewam się że nie okazałaś się niedorzecznie pobłażliwą i nie przebaczyłaś mężowi?

Ale Łucya nie zadowolniła jej ciekawości — uśmiechnęła się lekko jakby dając milcząco do zrozumienia że była niedorzecznie pobłażliwą. Ani przed Teresą ani przed nikim na świecie nie wyjawiłaby stosunków zachodzących między nią a mężem.

— Postawiłam sobie, rzekła po chwili, zapomnieć o tej całej historyi, i proszę cię, Tereso, chciej uczynić to samo, oboje z sir Karolem zarówno tego pragniemy.

Miss Blake dostrzegła uśmiech towarzyszący tej wymijającej odpowiedzi, i oniemiała z zadziwienia nad tak niepomierną słabością i głupotą Łucyi... A ona pewną była że lady Andinnian wywdzięczy jej się jakąś znakomitą ofiarą dla kaplicy Gwidona Cattacombl... No! pomyślała, Ewa zrywając jabłko nie dowiodła ani jednej setnej części podobnej słabości i nierozwagi!

XVI.

Wieczór w Labiryncie.

Labirynt był to stary dom pełen niewidzialnych przejść, zachowań i skrytek. Pokoje były małe, najgłówniejsze z nich wyłożone były aż do sufitu ciemną mahoniową boazeryą. Okna zaopatrzone były w maleńkie szybki, z wyjątkiem dwóch dużych z pięknemi lustrzanemi szybami, urządzonych przez ostatniego lokatora, pana Throcton. Po jego śmierci dom został wystawiony na sprzedaż z meblami i urządzeniem, i nabył go sir Józef Andinnian, dogadzając fantazyi żony która oddawna ułożyła sobie że musi przejść w jej posiadanie. Niedługo po tem kupnie, lady Andinnian zachorowała i umarła, a sir Józef także już mocno cierpiący, ani zajrzał do Labiryntu, tak więc po śmierci jego przeszedł on na własność spadkobiercy, w stanie w jakim został kupiony, i zarówno niezwiedzony, stał sobie zamknięty.

Jak to p. Smith powiedział miss Blake — a mówił prawdę chociaż nie zupełną — mistress Grey wynajęła go i zamieszkała podczas choroby Mistres Andinnian, kiedy sir Karol przybył czuwać przy łożu matki. Ale ów dodatek że był w Labiryncie odebrać należne komorne był na czysto zmyślony, był tam wprawdzie i widział mistress Grey, ale nie dla podniesienia komornego, gdyż żadnego nie opłacała.

Z dwóch pokoików w których urządzone były nowe okna, jeden znajdował się na dole, drugi po nad nim na piętrze, w rogu domu, od strony wschodowej kraty. Przez dolne to okno miss Teresa dostrzegła mistress Grey, w dniu w którym zakradła się do Labiryntu. My wprowadzimy czytelników do pokoju na pierwszem piętrze. Był to salonik, ściany jego, równie jak pokóju znajdującego się tuż pod nim, przysłaniała boazerya z ciemnego mahoniu, meble były ciężkie, pokryte ciemnem obiciem; pomimo gorąca, pozamykano okiennice i pozapuszczano starannie czerwone adamaszkowe, spłowiałe firanki. Na stole stała zapalona lampa, a obok niej bukiet z prześlicznych kwiatów.

Przy stole siedziała mistress Grey szyjąca sukienkę dla malutkiego dziecka, sir Karol zajmował miejsce naprzeciwko, bliżej kominka, a na fotelu tuż obok niej, siedział Adam Andinnian.

Bezwątpienia, czytelnicy nasi domyślili się już dawno tajemnicy sir Karola, tajemnicy, która stawiała go w tak ciężkiem i trudnem położeniu, i mogła doprowadzić do cięższego jeszcze. Nie Adam Andinnian, ale drugi więzień uciekający z nim razem, poniósł śmierć z ręki jednego ze strażników więzienia, na wyspie Portland.

Tak, Adam Andinnian siedział tam zdrów zupełnie, rozmawiał swobodnie, i równie jak dawniej śmiejąc się pokazywał śliczne białe zęby; Karol nie jest rzeczywiście sir Karolem, i nie był nim nigdy.

Jednak Adam był zmieniony. Pyszne dawniej, czarne włosy, były dziś krótkie, rzadkie i szpakowate, twarz dawniej pokryta świeżym rumieńcem była teraz zupełnie blada, zapuścił brodę rzadką, wątpliwego koloru; przez tę parę lat zestarzał się bardzo. Był ubrany w czarny frak jakby się wybierał na wieczór. Mistress Grey, jak ją nazywano — pomimo że to ona a nie Łucya była lady Andinnian — miała na sobie białą muślinową suknię. Sir Adam wymagał aby wieczorem, to jest w jedynej porze dnia w której ośmielał się wyjść z ukrycia, ubierali się stosownie do stanowiska jakieby powinni zajmować w świecie.

— Oświadczam ci, Karolu, że mi się to bardzo nie podoba, mówił sir Adam swym dawnym imponującym głosem; to skandal prawdziwy! Na mocy jakiego prawa pozwolono sobie urządzać coś podobnego na moim gruncie?

— Wiesz Adamie, że jak na teraz ten grunt należy do Truefit'a, on zaś dał na to pozwolenie.

— Istna gromada waryatek z jakimś młodym pyszałkiem na czele, rozporządza się według własnego widzimi się... jakieś młode dziewczęta biegają przez cały dzień jak postrzelone tam i napowrót, pod pozorem nabożeństwa, mówił dalej sir Adam, i rozdrażniony zaczął chodzić szybko do pokoju. Ka-

rolu, nie mogę znosić dłużej podobnego szaleństwa!

Chodził kulejąc, jakby mu się jedna noga skurczyła, ale był widocznie równie zapalczywym i niecierpliwym jak dawniej; okoliczności się zmieniają ale charakter nie ulega zmianie.

— Nie widzę jakim sposobem możnaby temu przeszkodzić, odpowiedział Karol. W naszem położeniu nieroztropnie byłoby zwracać na siebie uwagę i zjednywać sobie nieprzyjaciół; zresztą pewny jestem że to upadnie samo przez się.

— Wszyscy wyśmiewają się z tego, jak to nie raz już słyszała Anna, a prócz tego jest to zniewagą dla pana Sumnor. Dziwne to jakieś stworzenie musi być ta miss Blake! Słuchaj Różo, rzekł zatrzymując się przed żoną, gdybyś choć raz jeden weszła do tej ich kaplicy, nie przebaczyłbym ci tego nigdy.

— Zdaje mi się że nie potrzebujesz obawiać się tego, odpowiedziała spoglądając słodko na męża.

— Jakże też pusto w głowie mają teraźniejsze dziewczęta! Jestem przekonany że gdyby u nas bywały walki byków uczęszczałyby na nie z prawdziwą przyjemnością. Czy twoja żona, Karolu, bywa w tej improwizowanej kaplicy?

— O! nie.

— Daje mi to korzystne wyobrażenie o jej rozumie.

— Widzę, Adamie, że równie jak dawniej skorym jesteś do gniewu, rzekł Karol z uśmiechem. Usiądź, proszę cię, przyszedłem tu dziś aby pomówić z tobą o ważnych rzeczach.

— Tak, uspokój się, Adamie, rzekła Róża, nabawisz się znów tego bólu w boku, który mnie tak przeraża. Czy mam odejść, Karolu?

— Pozostań, Różo, odezwał się Adam siadając, idzie tu zapewnie o to co i zawsze, to jest o pozbycie się mnie z Foxwood. No, mów Karolu... albo nie, zatrzymaj się jeszcze chwilkę, dodał, pociągając taśmę od dzwonka.

Ukazała się wkrótce taż sama służąca z którą rozmawiała miss Blake, i która w Weymouth była powiernicą mistress Andinnian; słowem Anna Hopley.

— Mam nieznośne pragnienie, Anno, rzekł Adam. Przynieś mi butelkę wody salcerskiej i trochę *brandy*.

— Dobrze, panie, odpowiedziała, obawiając się, nawet gdy nikt obcy nie mógł tego usłyszeć, tytułować go inaczej.

Odkorkował sam butelkę gdy mu ją przyniesiono, napił się i wrócił na swoje miejsce, a Karol Andinnian zaczął mówić choć przekonany najsilniej że słowa jego nie zdołają przekonać Adama.

Ale jesteśmy zmuszeni dać tu pewne objaśnienia dotyczące przeszłości.

Gdy Karol Andinnian, dowiedziawszy się o ucieczce i śmierci brata, pojechał do Weymouth, zastał tam matkę pogrążoną w najstraszniejszej rozpaczy. Była to rozpacz szczera, prawdziwa, jakiej nikt nie potrafiłby udawać; mistress Andinnian żyła przekonaną że syn jej nie żyje. Póżniej dopiero, gdy posłała Karola do Foxwood aby tam poczynił przygotowania do pogrzebu, dowiedziała się że Adam żyje. Sir Andinnian zdołał uciec i ukrywał się w Weymouth, ale odniósł ciężkie rany, i sądzono iż rzeczywiście został zabitym. Mistress Andinnian nie dowiedziała się nigdy dokładnie, czy to dzięki głupocie lub wspólnictwu jednego z dozorców, oznajmiono w więzieniu że zginął z ręki strażników, ugodzony kulą w czoło. Prawdopodobnie zwierzchność więzienna była rada z pozbycia się tak niespokojnego więźnia; zaraz od pierwszego dnia jego przybycia, dozorcy przepowiadali sobie wzajemnie, że ten sir Andinnian ściągnie na nich jakie nieszczęście. Wyjaśnimy to wszystko w ciągu naszego opowiadania, teraz wystarczy nam wiadomość że Adam zdołał uciec.

Mistress Andinnian wiedziała już prawdę gdy przywiozła do Foxwood mniemane zwłoki syna (było to rzeczywiście ciało uciekającego razem z nim więźnia, nazwiskiem Coles) Adam był niebezpiecznie chory ale żył ukryty w miejscu bezpiecznem którego jej przez ostrożność nie wskazano. Nie uwiadomiła o tem Karola gdy ten przejęty boleścią stał nad grobem, pewny że tam składają zwłoki jego brata; nazywała go *sir* Karolem, i nie dała mu poznać ani jednem słówkiem że tak tytuł jak dobra należą do niego tylko pozornie. Może obawiała się powiedzieć to nawet jemu. Karol odjechał, spotkał się znów z Łucyą i został jej narzeczonym; ułożono i podpisano intercyzę a Karolowi nie przyszło nawet na myśl że nie miał prawa czynić podobnych rozporządzeń, ani też że nie jest prawnym posiadaczem wszystkich dochodów. Dowiedział się prawdy dopiero na parę dni przed ślubem, w czasie jego bytności w Foxwood. Była to właśnie owa tajemnica którą mu wyjawiła matka, wymógłszy pierwej na nim przysięgę że nie odkryje jej nikomu.

W pierwszej chwili sądził że straciła zmysły, ale w miarę jak mu opowiadała wszystkie szczegóły ucieczki, niebezpiecznej choroby, a następnie powolnego odzyskiwania zdrowia przez Adama, przekonywał się że nie jest to wymysłem jej wyobraźni, lecz rzeczywistą prawdą, a jednocześnie przyszło mu na myśl że jakkolwiek nieszczęśliwy brat jego zdołał wyzwolić się z więzienia, życie jego będzie odtąd tylko przeciągłem konaniem. Przewidywał niebezpieczeństwo ścigające ciągle Adama, niebezpieczeństwo grożące mu bezprzestannie aż do chwili śmierci, jeżeli tylko nie zostanie napowrót schwytanym. Cała nieszczęśliwa przyszłość samotnego zbiega przesuwała się przed jego oczyma jak w czarodziejskiem źwierciadle.

Podług Karola Andinnian nie było już straszniejszego losu na ziemi! przekładałby śmierć na rusztowaniu nad tak nędzne i pełne niepokoju istnienie. Kochał bardzo brata, i ta wiadomość zakrwawiła mu serce, przejęty głęboką litością nad smutną dolą Adama byłby gotów oddać własne życie, gdyby tą ofiarą mógł okupić jego szczęście. Następnie nasunęły mu się uwagi nad zmianą jego własnego położenia, i ta myśl bolesna że nie powinien już myśléć o zaślubieniu Łucyi.

Oznajmił to matce, która ze swej strony przedstawiła mu że pod względem majątkowym położenie jego nie wielkiej ulegnie zmianie, i mówiła to zgodnie ze swem przekonaniem.

Mistress Andinnian wiedziała dobrze iż to ona pierwsza podała Adamowi myśl ucieczki, i przyczyniła się do niej zapewniając mu pomoc jednego z dozorców, a teraz gdy się wyswobodził, gdy nazwisko jego zostało zamieszczone na liście zmarłych, i gdy wegetował w jakieś nędznej izdebce, nie śmiejąc z niej wyjść, a nawet dopuścić do niej światła dziennego, zrozumiała dopiero całą rozciągłość swego błędu. Zrozumiała że syn jej będzie odtąd skazanym na życie tułacze, jeźli nawet zdoła uciec za granicę, uniknąć wzroku policyi, bo kto wie czy jest choćby jeden policyant nie posiadający jego fotografii. Nieszczęśliwy zbieg zmuszony wieść samotne życie w jakiemś odludnem miejscu, nie będzie potrzebował wiele na swoje wydatki.

— Będziesz mieszkał w Foxwood jak gdybyś był rzeczywiście jego właścicielem, i równie jak dziś pozostaniesz w oczach świata sir Karolem, a dzieci twoje odziedziczą po tobie tytuł i majątek, mówiła mistress Andinnian, nie ma więc słusznego powodu do zerwania twego małżeństwa lub zmienienia intercyzy. Będziesz tylko zmuszony przesyłać Adamowi jakąś część rocznego dochodu, ale i to zapewnie nie potrwa długo... tułacze życie prowadzi szybko do grobu.

Karol opuścił Foxwood po tej rozmowie, niespokojny i stroskany; jakkolwiek ciężkie były jego udręczenia osobiste, nie mogły jednak iść w porównanie z temi jakie w nim budził niepokój o dalszy los brata. Nie śmiał wyznać prawdy pułkownikowi Cleeve lub też Łucyi, a nawet choćby tylko nadmienić że śmierć Adama nie została dostatecznie udowodnioną; z drugiej strony przez wzgląd na zdrowie Łucyi, obawiał się zerwać ułożonego z nią małżeństwa.

Po ślubie nie usłyszał już o tem nic więcej aż do powrotu swego do Foxwood, gdzie sprowadziła go choroba matki. Ciągły niepokój podkopał zdrowie mistress Andinnian; w dzień nie odstępowała jej myśl, że syn jej może powtórnie dostać się do więzienia, w nocy śniło jej się że widzi jak go chwytają i okuwają w kajdany, i w skutek tej ciągłej obawy rozwinęła się gorączka. Wyrzekłaby się chętnie wszystkiego co posiadała gdyby mogła uwierzyć że ucieczka Adama była tylko sennem marzeniem, że żyje dotąd zdrów i spokojny na wyspie Portland. W takim to stanie zastał ją Karol, i usłyszał znów od niej wiadomość całkiem niespodziewaną i stawiającą go w trudniejszem jeszcze położeniu; wiadomość która i do niej także doszła niedawno. Adam miał żonę!

Może czytelnicy przypominają sobie, że mieszkając w Northamptonshire, wyjechał na kilka dni z domu i wrócił dopiero po śmierci sir Józefa, w przeddzień nieszczęsnego dnia w którym zabił Marcina Scott. Podróż tę odbył w celu poślubienia Róży Turner, która stosownie do ułożonego przez nich poprzednio planu, przebywała już od pewnego czasu w Birmingham. Gdyby nie przesądy matki — jak nazywał jej zapatrywanie się pod tym względem — byłby ją zaślubił jawnie, ale wiedząc że nie zezwoli nigdy na ten związek, i nie chcąc jej się sprzeciwiać otwarcie, rzekł do Róży: „weźmiemy ślub potajemnie, a później gdy znajdę stosowną chwilę, uwiadomię o tem matkę.”

Róża, kochająca go bardzo, łatwo zgodziła się na to. Niestety! nie miał czasu ujawnić swego małżeństwa, nazajutrz po swym powrocie, a w tym samym dniu gdy młoda jego żona powróciła do krewnych nie domyślających się niczego, Adam został wtrąconym do więzienia. Milczał sądząc że tym sposobem Róża będzie mniej narażoną na plotki i oszczerstwa; stawała także jako świadek w jego sprawie, co nie mogłoby miéć miejsca gdyby wiedziano że jest jego żoną. Wszystkie te wiadomości odebrała mistress Andinnian, nazajutrz po wyjeździe Karola do Paryża, od pana Smith, o którego poprzedniej bytności Hewitt wspominał już swemu panu. Był to nowy i bolesny cios dla mistress Andinnian, i ciągłe te udręczenia doprowadziły ją do trawiącej gorączki. Później, leżąc już na śmiertelnem łożu, uwiadomiła Karola o prawdziwym stanie rzeczy, czyniącym jego położenie stokroć jeszcze cięższem. Gdyby mógł domyśléć się że brat jego ma żonę, nic w świecie nie zdołałoby go skłonić do zaślubienia Łucyi. Mistress Andinnian powiedziała mu więcej jeszcze: Adam zdołał dostać się do Londynu, gdzie ukrywał się wraz z żoną która tam przyjechała do niego; oraz że zamierzają wkrótce przybyć do Foxwood i zamieszkać w La-

biryncie. Usłyszawszy tę ostatnią wiadomość oniemiał ze zdumienia.

— Adam musi być szalonym w takim razie! zawołał.

— Bynajmniej; postępuje zupełnie rozsądnie, odpowiedziała mistress Andinnian. Pragnie żyć przynajmniej w swoim majątku, i zgadzamy się na to wszyscy, on, ja, i... mniejsza o to kto trzeci... że będzie tu bezpieczniejszym jak w każdem innem miejscu. Gdyby nawet zrodziła się jakaś wątpliwość co do jego śmierci — a mam nadzieję że to nie nastąpi nigdy — to nie przyszłoby nikomu na myśl szukać go w jego własnym domu. Prócz tego Labirynt jest wybornie urządzony dla osoby potrzebującej się ukrywać.

— Uważam to za największe szaleństwo, odezwał się znów Karol; Adam zgubi się dobrowolnie.

— Nie podzielam twego zdania, gdyby tak było rzeczywiście, pan Smith nie pochwalałby tego zamiaru, odpowiedziała mistress Andinnian. Pragnę widzieć mego syna, Karolu, a czy mogłoby to nastąpić inaczej? Czy mogę pojechać tam gdzie on przebywa? Czyby to nie ściągnęło na niego podejrzenia? a cóż łatwiejszego jak wejść do Labiryntu.

— Któż jest ten pan Smith i w jakich zostaje stosunkach z Adamem? Jakim sposobem został wtajemniczonym w tę sprawę? zapytał Karol.

Trudno byłoby powiedzieć czy mistress Andinnian mogła lub nie zaspokoić pod tym względem ciekawość Karola, ale w każdym razie nie dała mu żądanego wyjaśnienia. Pan Smith znał dokładnie niebezpieczną tajemnicę, i dla tego trzeba było postępować z nim grzecznie i ogłędnie. Troszczył się on szczerze o dobro i bezpieczeństwo Adama, i życzył sobie mieszkać w pobliżu Labiryntu, aby mógł nad nim czuwać. Z tego to powodu wyznaczyła mu na mieszkanie ładny domek naprzeciwko bramy Labiryntu, nadała mu tytuł rządcy sir Karola i upoważniła do odbierania czynszów, aby tym sposobem usprawiedliwić jego obecność w Foxwood. Karol pomimo wszelkich usiłowań nie zdołał dowiedzieć się nic więcej.

Biedna mistress Andinnian zakończyła życie nie zobaczywszy ukochanego syna; gorączkowa niecierpliwość z jaką oczekiwała jego przybycia wyczerpała do reszty jej siły i śmierć przyśpieszyła. Mieszkańcy Labiryntu przybyli dopiero po jej pogrzebie, to jest ci z jego mieszkańców którzy nie obawiali się pokazać otwarcie. Mistress Grey i Hopley'owie przyjechali pociągiem wieczornym, wsiedli natychmiast do dwóch czekających już na nich powozów i udali się prosto do Labiryntu. Mistress Grey wsiadła do jednego powozu, a Hopley do drugiego.

Karol Andinnian odwiedził brata na drugi dzień wieczorem. Adam był bardzo zmieniony, w czasie gorączki spowodowanej ciężkiemi ranami które otrzymał uciekając, włosy jego przerzedziły się znacznie, i odtąd był już ciągle blady i zeszczuplał bardzo. Nie zdawał się jednak przygnębionym, utrzymywał że teraz kiedy jest już u siebie i oddycha ożywczem wiejskiem powietrzem, z pewnością wkrótce zupełnie odzyska zdrowie. Nie zdawał się przewidywać żadnego niebezpieczeństwa; oświadczył nawet że nigdzie nie mógłby znaleźć równie pewnego schronienia. Karol będzie nosił tytuł baroneta i uchodził za właściciela Foxwoodu, ale pozostawiał sobie główny kierunek interesami dotyczącemi dóbr i kapitałów. Biednemu Karolowi, położenie wydawało się przeciwnie bardzo groźnem i niebezpiecznem, byłby wolał nie mieszkać wcale w Foxwood i pozostawić dom pod opieką Hewitt'a, z obawy aby ktoś ze służących nie odkrył i nie zdradził tajemnicy. Jednak sir Adam nie chciał na to przystać, oświadczając że nigdy na to nie pozwoli aby Foxwood-Court miał stać pustkami.

Hewitt wiedział o wszystkiem, ukrywać się przed nim byłoby rzeczą niewłaściwą, a nawet niemożliwą, zresztą przypadek roztrzygnął tę kwestyę. Na kilka dni przed śmiercią mistress Andinnian, gdy Hewitt wszedł o zmroku do pokoju chorej aby zdać sprawę z jakiegoś wydanego mu polecenia, biorąc go za Karola, wymówiła kilka słów zdradzających tajemnicę. Ucieszyło to Karola; nawet dla dobra Adama było lepiej aby poczciwy i przywiązany Hewitt wiedział prawdę, będzie mógł czuwać nad nim zdaleka. Karol wyjechał z żoną za granicę i bawił tam tak długo że to zaczęło zwracać uwagę rodziny Łucyi, co zniewoliło go wrócić do Foxwood.

Widzimy teraz jak ciężkie było życie Karola Andinnian, w jak fałszywem i trudnem znajdował się położeniu: podawał się za baroneta, za człowieka bogatego i właściciela Foxwood-Court, i był do tego zmuszonym, gdyż jedno słówko dozwalające domyślać się że tak nie było mogłoby obudzić jakieś podejrzenia, a Bóg wie jakie byłyby tego następstwa. Dla dobra Adama musiał uchodzić za to czem nie był, i oszukiwać ludzi. Obawa o los brata nękała go w dzień i w nocy; doznawał ciągle takiego uczucia jakby mu ktoś rozpalone żelazo przykładał do serca.

Teraz musimy jeszcze wytłomaczyć jakim sposobem powstało nieporozumienie między Karolem i Łucyą. On wyobrażał sobie że dowiedziała się jakimś sposobem że Adam żyje i ukrywa się w Labiryncie, ona, spuszczając się na zapewnienie miss Blake, sądziła że tam przebywa jakaś jego kochanka. Zkądże mógł się domyślić że słowa Łucyi nie odnoszą się do tej nieszczęsnej tajemnicy? Jak jej znowu mogło przyjść na myśl że tu nie szło o miłostki, o których uwiadomiła ją Teresa, popierając swe słowa dowodami. Łucya, tak przez skromność jak w przekonaniu że Karol wie dobrze o co ma żal do niego, wyrażała się ogólnikami. Karol, jak zwykle, unikał najlżejszej nawet wzmianki o tajemnicy brata, obawiając się aby ktoś nie podsłuchał, a gdy następnie chciał opowiedzieć jej wszystko, powtrzymała go lękając się usłyszyć coś bardzo dla niej przykrego, i tym sposobem przerwała zwierzenia które byłyby jej wróciły spokój i szczęście.

Obecnie, Karol siedząc naprzeciwko brata, starał się przekonać go o konieczności opuszczenia Labiryntu, i przeniesienia się w jakieś bezpieczniejsze miejsce. Była to rzeczywiście, jak się Adam wyrażał, stara historya, gdyż Karol usiłował zawsze skłonić do tego brata, ten zaś odmawiał zawsze, nie zważając na jego przedstawienia. Utrzymywał że te ciągłe obawy były zbyteczne, że się czuje bezpiecznym, że nie myśli opuścić rodzinnego kraju, ani też tego własnego zakątka. Karol wiedział dobrze jak delikatne brat jego był upartym, ale przerażony mniemanem odkryciem żony, próbował jeszcze czy nie zdoła go przekonać. Nie wspomniał mu jednak nic o rozmowie z Łucyą, ponieważ nie mógłby powiedzieć jakim sposobem dowiedziała się że Adam żyje i ukrywa się w Labiryncie.

— Jest to równie pewnem jak to że obecnie rozmawiamy z sobą, Adamie, że lada dzień zejdzie tu policya, zawołał Karol.

— A więc niech zejdzie, odpowiedział z lekceważeniem Adam, nie potrafi mnie znaleźć.

— Ah! Adamie nie wiesz jeszcze jak bystry wzrok mają ci ludzie, i jak są przebiegli!

— Nie przeczę temu, Karolu, ale pomimo to jestem tu zupełnie bezpieczny.

Karol bawił tego dnia dłużej jak zwykle, wstał więc i pożegnał się z bratem. Mistress Grey— którą tak i nadal będziemy nazywać, pozostawiając Łucyi tytuł lady Andinnian — złożyła robotę i zeszła z nim do ogrodu. Ładna Róża Turner przebyła ciężkie zmartwienia, i cała jej postać stała się teraz więcej idealną; twarz dawniej okrągła była teraz owalną, drobne rysy były piękniej jeszcze niż przedtem wykończone, rumieńce przybrały delikatniejszą barwę, a błękitne oczy wyraz łagodny i smutny. Miss Blake miała słuszność mówiąc że jest piękną jak anioł.

— Karolu, szepnęła, obawa że mogą wyśledzić Adama, zabija mnie. Gdybyśmy mogli wyjechać z Anglii!

— Pragnę tego niemniej od ciebie, odpowiedział Karol.

— Zdaje mi się że Adam lęka się tego Smitth'a, że sądzi iż on byłby przeciwnym naszemu z tąd oddaleniu. Jestem najpewniejsza że to on nas tu zatrzymuje; że tylko pozornie nam sprzyja, a rzeczywiście jest naszym nieprzyjacielem. A mój Boże! jakież to straszne położenie!

Karol odszedł smutny i niespokojny. Martwiło go bardzo że Łucya w taki sposób zapatrywała się na całą tę sprawę, i tak boleśne dla obojga powzięła postanowienie. Sądził że myśl o przykrości jaką podobna wiadomość sprawiłaby jej rodzicom, była głównym powodem rozdrażnienia Łucyi, wszakże pułkownik Cleeve oświadczył wyraźnie że wolałby widzieć córkę w trumnie, niż wydać ją za Karola gdyby Adam żył jeszcze.

Ale jakimże sposobem dowiedziała się o tem? myślał Karol; dręczony bezprzestannie tą myślą że lada chwila i ktoś innny może zarówno odkryć prawdę—jak to się zdaje zwykle każdemu kto posiada jakąś niebezpieczną tajemnicę. Może Hewitt wymówił nieostrożnie jakieś słówko, ktore Łucya usłyszała i domyśliła się reszty. Może on sam powiedział coś przez sen?

Wszedł prosto z tarasu do swego gabinetu na dole, przyciskając ręką zbolałe czoło. Nic dziwnego że znajdowano Karola bardzo zmienionym, stawał się coraz podobniejszym do szkieletu. Jak niegdyś jego matka, tak on teraz miewał sny przerażające, w których widział jak chwytano i okuwano w kajdany Adama. Co noc prawie budził się nagle pod wrażeniem strasznych marzeń; Adam uciekał a za nim pędził tłum strażników z dzikiemi i srogiemi twarzami, może ucieknie?.. gdzie tam, schwycili go, trzymają za kołnierz... a w dali widać rusztowanie. Parę razy budząc się czuł że krzyczał głośno.

— Tak, tak, teraz już wiem jak się to stało. Hewitt jest zbyt ostrożnym i zbyt wiernym; to ja sam zdradziłem się przez sen. O! mój biedny bracie, niechaj Bóg uchroni cię od nieszczęścia!

XVII.

W obec świata.

Gwarno było i wesoło w Foxwood-Court, pułkownik i mistress Cleeve przybyli tam na parę tygodni. Oddawano sąsiadom wizyty i przyjmowano ich u siebie, zapraszano się wzajemnie na obiady.

Sir Karol nie chciał skazywać rodziców żony na pustelnicze życie w czasie ich pobytu u siebie, z obawy aby z tego nie wyprowadzano jakich wniosków. Dla tego też sir Karol i lady Andinnian bywali u sąsiadów i przyjmowali ich u siebie, ubie-

rali się strojnie, rozmawiali i bawili się zupełnie tak jakby nie było między nimi nawet cieniu nieporozumienia.

Jednak lady Andinnian była codzień smutniejsza; wiedziała aż nadto dobrze, niestety! że mąż dwa lub trzy razy na tydzień udawał się wieczorem do Labiryntu. Nie była z natury podejrzliwą, jednak dziś, gdy jej otworzono oczy, wiedziała wszystko dokładnie. Nie śledziła kroków męża idąc za przykładem Teresy, gdyż jej szlachetny charakter sprzeciwiał się temu, ale pomimo to znała cel wieczornych wycieczek Karola.

Życie wydawało jej się teraz nieznośnym ciężarem, a postanowienie znoszenia wszystkiego cierpliwie, prawie niepodobnem do wykonania. Krzyż który musiała dźwigać ciągle, był zbyt ciężkim na jej ramiona. Uczucie upokorzenia, zazdrość i miłość staczały zaciętą walkę w jej sercu, czyniąc ją bardzo nieszczęśliwą. Nie zdołałaby wytrwać na tej ciernistej drodze, ani też ukryć co się działo w jej duszy, gdyby nie wrodzona dobroć i cierpliwość, gdyby nie błagała gorąco Boga aby jej udzielił potrzebnej siły. Zdawało jej się że milczenie na jakie się skazywała przetrawi jej serce, a jednak miała nieraz sposobność przekonać się że nie było ono jeszcze najcięższą z prób jakie znosić musiała.

Mistress Cleeve weszła z Teresą do pokoju córki, nazajutrz po swym przybyciu do Foxwood. Łucya wróciła właśnie od Małgorzaty Sumnor; była zmęczona, uskarżała się na gorąco, i dla tego przywołała Agnieszki aby ją przebrała w lżejszą muślinową suknię.

— Nie sądziłam aby dziś było tak gorąco, inaczej nie byłabym włożyła na siebie materyalnej sukni. Północny nasz salonik jest tak chłodny, że gdy siedziałyśmy w nim dziś rano, zapomniałam zupełnie o upale.

Mistress Cleeve oglądała się dokoła i czyniła w myśli uwagi. Drzwi od pierwszego aż do ostatniego pokoju były pootwierane, gdyż Łucya otwierała je codzień sama, nie chcąc aby ktoś ze służących mógł się domyślić że między nią a mężem istnieje nieporozumienie.

— Więc to twój pokój sypialny, Łucyo? rzekła mistress Cleeve.

— Tak, mamo.

— A tam dalej pokój Karola. No, urządziliście się według najświeższej mody. Osobne pokoje! Ja i twój ojciec mieliśmy zawsze tylko jeden.

Twarz Łucyi oblała się gorącym rumieńcem, wybąkała coś o nocach nieznośnie gorących, dodając że parę razy miała trochę gorączki; chcąc ukryć prawdę chwyciła się pierwszego tłumaczenia jakie jej się nasunęło. Agnieszce pochlebiało to naśladowanie francuzkich zwyczajów, a służyła zbyt długo u mistress Cleeve, aby lękała się wyjawić przy niej otwarcie swego zdania.

— Zdaje mi się, rzekła, że przy tak afrykańskich upałach jakie mamy obecnie, milady i sir Karol nie mogli już urządzić się lepiej i stosowniej. Sądzę że miss Blake powie to samo.

— Proszę cię nie odwołuj się w tem do mnie, odpowiedziała zimno Teresa.

— Tak, tak Agnieszko, wiem że ten zwyczaj zaczyna się upowszechniać w Anglii, i może nawet tak dogodniej, powiedziała mistress Cleeve.

— O! bez wątpienia, a zresztą niech pani tylko spojrzy — dodała wskazując na dalsze pokoje — sir Karol i milady mogą się widzieć doskonale, gdy każde z nich jest w swoim pokoju.

— Agnieszko, spojrzyj proszę cię na te kokardy przy staniku, zawołała z żywością lady Andinnian, przypięłaś je zupełnie krzywo.

— A nawet rozmawiać z sobą, skoro tylko zechcą, mówiła dalej Agnieszka. Doprawdy nie podobna było urządzić się dogodniej.

— W każdym razie, czemu, Łucyo, nie zostawiłaś dla siebie obszerniejszego pokoju: mniejszy byłby dostatecznym dla Karola. odezwała się znów mistress Cleeve.

— Zwracałam właśnie na to uwagę milady, mówiła dalej Agnieszka przypinając kokardy, ale milady ten wybrała. Nie przeczę że jest także wygodny, ale nie tak piękny i obszerny jak tamten.

Ah! jakże Łucya pragnęła aby już przestali o tem mówić. Chciałaby się gdzieś ukryć aby jej nie widziano; każde słowo sprawiało jej niewysłowioną boleść. Zmoczyła chustkę wodą kolońską i przyłożyła do czoła.

— Czy milady dostała bólu głowy?

— Tak, przypnij prędko te wstążki, abym mogła ztąd odejść.

— Zapewnie to skutki tak zaduszającego upału, odpowiedziała Agnieszka, w Paryżu niepodobna byłoby teraz wytrzymać.

Agnieszka miała słuszność pod tym względem; było to lato niezwykłe, upały zaczęły się na Wielkanoc i trwały jeszcze w jesieni. Było to poniekąd dogodnem dla Łucyi, dając jej sposobność wytłomaczenia zmian przez nią zaprowadzonych.

Mistress Blake nie mięszała się wcale do rozmowy, siedziała przy oknie zacisnąwszy usta, co u niej było zawsze oznaką niezadowolnienia. Widząc, ile razy weszła wszystkie drzwi otwarte, nie domyślała się wcale prawdy; była przekonana że Łucya lekceważyła jej przestrogi, gdyż Karol, jak widać umiał usprawiedliwić się zręcznie z czynionych mu zarzutów.

Miss Blake zadawała sobie właśnie pytanie które ją niepokoiło od chwili spotkania się z mistress Cleeve: czy miała lub nie uwiadomić matkę Łucyi o postępowaniu Karola? Długo rozmyślała nad tem i ostatecznie wyrozumowała sobie że nie powinna milczeć. Zarówno religia jak i moralność nakazywały aby zepsucie i obłuda odebrały przynależną karę. Gdyby Łucya postępowała rozumnie, ona nie potrzebowałaby mięszać się do tej sprawy; ale skoro nie zwracała żadnej uwagi na jej słowa, obowiązek nakazywał jej ukarać przewrotność i niecnotę. Jakto! ona, bez której nowy kościół nie istniałby wcale, ona, prawa ręka wielebnego Gwidona Cattacomb, ona którą możnaby prawie nazwać świeckim wikaryuszem parafii, ona, która tak gorliwie uczęszczała na nabożeństwa, aby służyć za wzór innym; ona miałaby czoło ukrywać że odkryła potok nieprawości, i nie uczynić wszystkiego co będzie w jej mocy aby zatamować jego źródło, lub wtrącić w przepaść występnych? Ile razy udawała się do swego kościoła, ile razy wracała z niego, była zmuszona przechodzić około tej bezecnej bramy nasuwającej jej gorszące myśli.

Jeźli miss Blake wahała się dotąd, to obecnie powzięła już stanowcze postanowienie. Agnieszka ubierała panią, mistress Cleeve chodziła po przyległym pokoju, który dawniej był gabinetem Karola a teraz został zamienionym przez Łucyę na jej wyłączny salonik, w którym przebywała o ile mogła najwięcej. Miss Blake siedząc, nieporuszona przy oknie, umacniała się w swych zamiarach. Zdawało jej się że trzyma się ściśle drogi wskazanej przez obowiązek, że postępuje zupełnie bezinteresownie, i zgorszyłaby się bardzo gdyby ją ktoś ostrzegł że powoduje nią głównie chęć zemsty nad Karolem Andinnian. Nie zdawała sobie z tego sprawy, że pragnie zakłócić jego spokój domowy, i że sprawiłoby jej to przyjemność, gdyby piękna mieszkanka Labiryntu wyjeżdżała z niego ścigana szyderczemi krzykami gawiedzi.

Nazajutrz wszyscy udali się na proszony obiad, po którym miał być wieczór tańcujący. Gdy lady Andinnian, taka sliczna i ślicznie ubrana, weszła do salonu wsparta na ramieniu męża, niktby nie przypuścił że ta para tak piękna i dobrana, nie żyje z sobą w zupełnej zgodzie? W obec obcych okazywali sobie wzajemnie jak największe względy, stosując się ściśle do najdrobniejszych nawet przepisów światowej etykiety, a co do Karola, ten tak przy ludziach jak i gdy byli sami, całem obejściem swojem dawał żonie dowód najżywszego przywiązania.

Pojechali dwoma powozami; do jednego wsiadła Łucya z ojcem, w drugim zajęły miejsca mistress Cleeve, miss Blake i Karol. Łucya zamierzała wracać tym samym porządkiem, ale nie domyślając się niczego, pułkownik popsuł jej szyki, wsiadł bowiem do powozu w którym jechała żona jego i miss Blake, a tak lady Andinnian zmuszona była jechać razem z mężem.

— Zdajesz się bardzo zmęczona, Łucyo, rzekł sir Karol gdy powóz ruszył.

— O! tak, chciałabym już jak najprędzej być w domu, odpowiedziała, i owinąwszy się w balową zarzutkę, zasunęła się w róg powozu i zamknąwszy oczy udawała że śpi.

Ale serce jej biło za gwałtownie aby spać mogła! Jednakże przez całą drogę nie otworzyła oczu, a tak przez cały czas nie zamienili ani słówka. Gdy zajechali przed dom, sir Karol pomógł jej wysiąść.

— Dobranoc, rzekła cicho, zmierzając do swego pokoju.

— Dobranoc, Łucyo.

Ale pomimo drobiazgowej przezorności lady Andinnian, starającej się jak najusilniej ukrywać rozdwojenie zachodzące między nią a mężem, po kilku zaledwie dniach pobytu mistress Cleeve dostrzegła w twarzy córki wyraz przygniatającego ją smutku, nie mogącego ujść oka kochającej matki. Jakiś tajony smutek przebijał w sztucznej wesołości jaką starała się okazywać, zdradzając ukrywane cierpienie. Nie mogąc domyślić się rzeczywistego powodu, mistress Cleeve przypuszczała że stan zdrowia Łucyi pogorszył się pewnie.

— Od jak dawna czujesz się cierpiącą, Łucyo? zapytała pewnego dnia gdy same siedziały w małym saloniku.

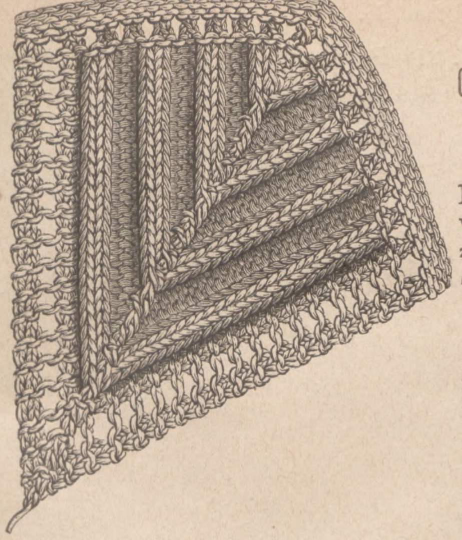
— Ale, mateczko, jestem zupełnie zdrowa, z jakiego powodu mniemasz że jestem cierpiąca?

— Już sam niejednostajny twój humor na myśl tę naprowadza, a potem zupełnie nie wyglądasz na zdrową... Nie masz apetytu, słowem jesteś jakaś nie swoja... Ale może to wszystko nie bez przyczyny, drogie dziecię?

— Jakto? zawołała nie pojmując.

— Takbyśmy pragnęli oboje z mężem powitać upragnionego wnuka...

(D. c. n.)



N. 12. Kwaterka do gwiazdy robionej na drutach ryc. 13.

Opis do N-ru 21.

(Dalszy ciąg.)

N. 3—6. Serwety na stół rozmaitej wielkości. Patrz r. 19 w N-rze 20.

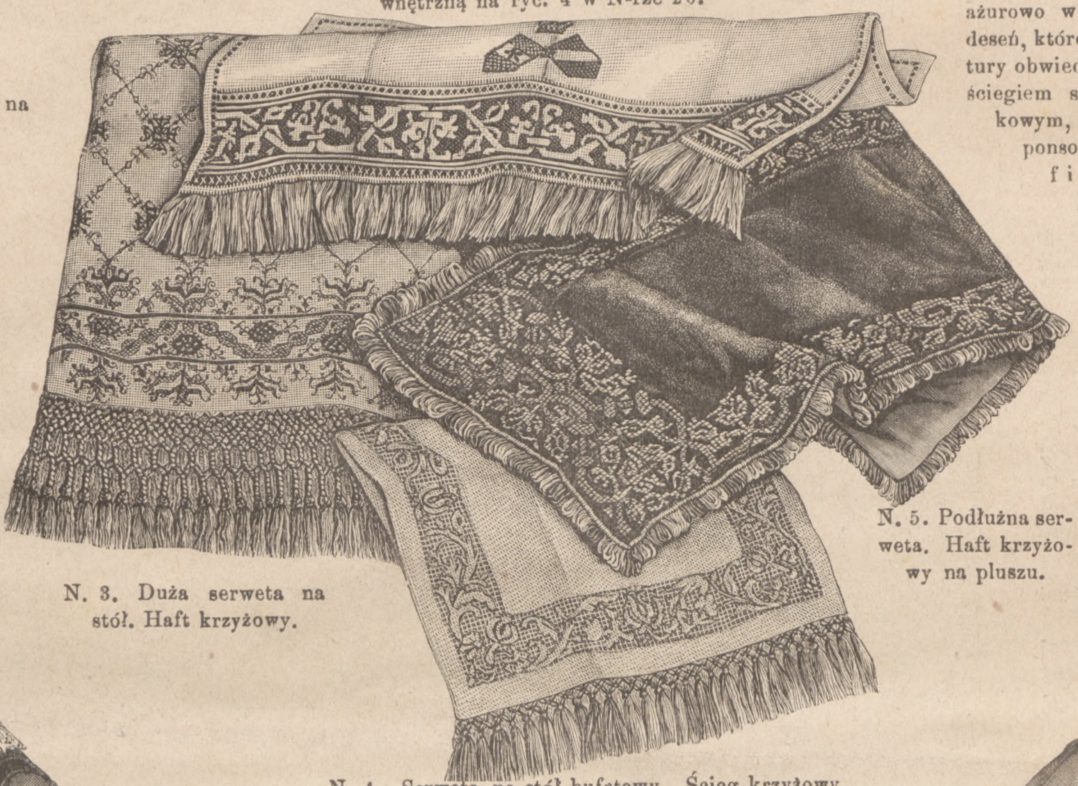
Cztery serwety różnych rozmiarów, odpowiednich do celu na jaki służą, ozdobione są frendzlą i wyszyciem krzyżykowem. Największa serwetka ryc. 3, licząca w kwadrat 135 c. jest z żółtawego płótna, cała wyszyta w deseń krzyżowy, bawełną ponsową i szafirową. Na ryc. 4 widzimy serwetę do bufetu 86 cent. długą, około 58 szeroką, z trzech stron zakończoną obrębem z kratką ażurową a z czwartej zdobną szerokim szlakiem wyszytym jedwabiem ponsowym dobrym do prania. Nad szlakiem dane tarcze herbowe lub tarcze z cyframi. Trzecia podłużna pluszowa serweta używa się do przykrycia tacy, lub kładzie na obrusie płóciennym na środku stołu, w miejscu gdzie stoją bukiety, klosze i koszyczki z zastawą deserową. Na tle z ciemno-ponsowego jedwabnego pluszu wyszyty szlak krzyżykowy kolorowemi jedwabiami; podszewka jedwabna, w około brzegów dana wązka niestrzyżona frendzelka. Ryc. 6 przedstawia serwetę 38 c. długą 54 szeroką z białego krepowanego płótna, ze szlakiem przerabianym fabrycznie. Ryc. 19 w N. 20 przedstawia w naturalnej wielkości części szlaku tkanego ażurowo w matowy deseń, którego kontury obwiedzione są ściegiem sznureczkowym, bawełną ponsową i szafirową. Frendzla wysiepana z materyału.



N. 1. Mantelsak haftowany. Zobaczyć stronę wewnętrzną na ryc. 4 w N-rze 20.



N. 2. Kapelusz ze słomki w dwóch kolorach. Zob. przód na ryc. 32 w N. 20.



N. 3. Duża serweta na stół. Haft krzyżowy.

N. 5. Podłużna serweta. Haft krzyżowy na pluszu.

N. 4. Serweta na stół bufetowy. Ścieg krzyżowy, obwodzony, jednakowy na obie strony. Zobaczyć frendzlę ryc. 11.

N. 6. Serweta ze szlakiem tkanym fabryeznie i oszywanym z brzegów ściegiem sznureczkowym. Zobaczyć ryc. 19 w N. 20.

N. 7. Sukienka z boczkami przemarszczanemi.

Przód zaplisowany jest w wązkie fałdki, plecy zupełnie gładkie zapinane na guziki, a boczki przemarszczane na dopasowanej gładkiej podszewce. Przyszycie szerokiej falbany przykrywa szarfa morowa 27 cent. szeroka; kołnierz i mankiety przemarszczane.



N. 7. Suknia z marszczonemi boczkami, dla małej dziewczynki.

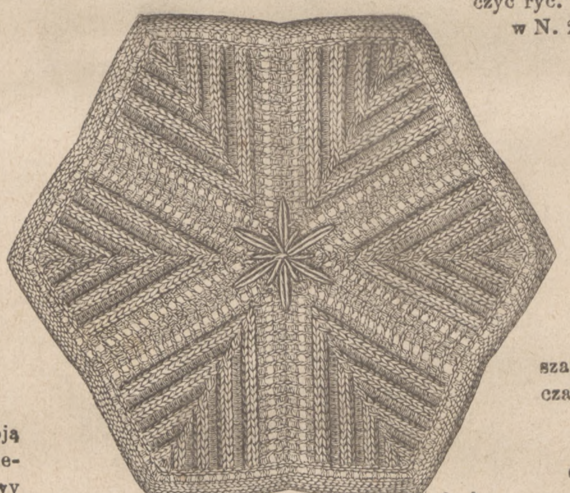
N. 8. Suknia z przemarszczanym plastronem dla małej dziewczynki.



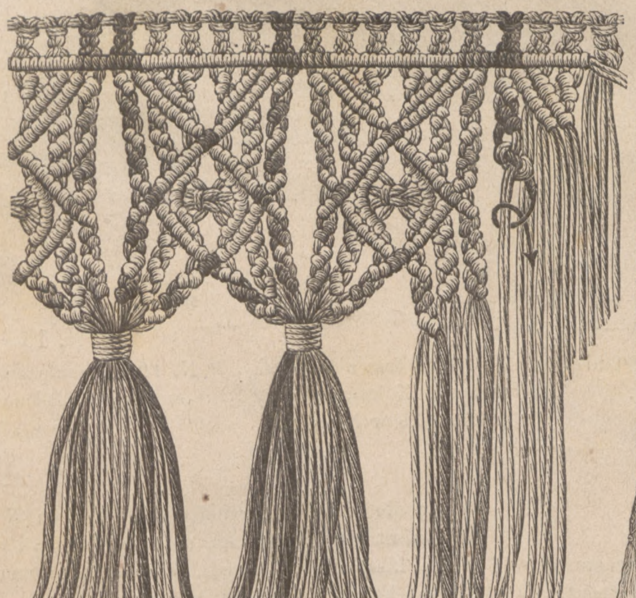
N. 9—10. Sukienka ozdobiona haftem dla małej dziewczynki.

N. 8. Sukienka z przemarszczanym plastronem.

Odrobiona formą princesse z falbaną 22 cent. szeroką, ma z przodu i na plecach dodany plastron, u góry i u dołu 20,



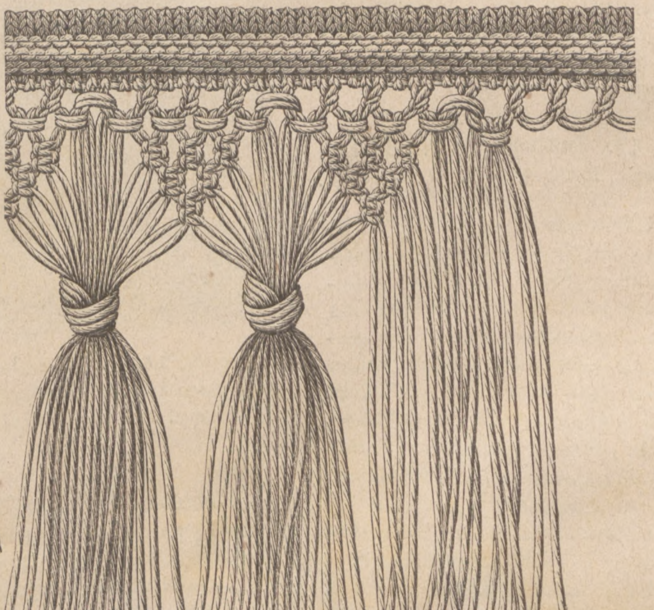
N. 13. Gwiazda robiona na drutach, do kapy na łóżko ryc. 14.



N. 11. Frendzla macramé do ryc. 4.



N. 14. Kapa na łóżko, robota na drutach. Zobaczyć frendzlę na ryc. 15, gwiazdę pomniejszoną na ryc. 13, jedną kwaterkę w naturalnej wielkości na r. 12.



N. 15. Frendzla macramé do ryc. 14.

w środku 13 cent. szeroki, który przemarszcza się na gładkiej podszewce, pod szyją wzdłuż na 12, w pasie na 8 cent. a u dołu spada w bufę nad plisowaną falbanką. Zakończenie z boków stanowią ranwersy aksamitne; takież plisy u dołu po 6 cent. szerokie. Kołnierz koronkowy.

N. 9—10. Sukienka zdobna haftem.

Haft 7 cent. szeroki odrobiony jest na materyale z którego uszyta sukienka, dany pod przemarszczeniem 6 c. szerokiem. Ryc. 9—10 przedstawiają przód i plecy sukienki kaszmirowej; przody założone w kontrafałdę spadają na falbanę dolną 17 cent. szeroką i są przewiązane rodzajem szarfy 18 cent. szerokiej, idącej od boczków spiętej kokardą z wstążki. W pelerynkę na plecach wstawione przemarszczenie z haftem, z boków przytrzymane guziczkami, u góry 9 u dołu 12 cent. szerokie.

N. 16. Paletot z plecami ściętemi spiczasto. Przód i wskazanie kroju na ryc. 38—39 w N. 20.

Na ryc. 38 w N-rze 20 dajemy w zmniejszeniu wskazanie kroju paletota, w którym plecy u dołu ścięte są spiczasto, a szerokie boczki wywinięte w ranwersy podług linii kropkowanej i lekko podpięte, złączone są na wierzchu pleców pod kokardą. Boki z przodami zszyte są wzdłuż na 56 cent. a niżej są niezłączone. Strojny paletocik przedstawiony na ryc. 16, odrobiony z matelassu, naśladującego adamaszek jedwabny; kołnierz i wykłady morowe; kokardy z wstążki atłasowej z morową lewą stroną.

N. 17. Suknia ze stanikiem z baskiną.

Spódnica z cienkiego atłasu w drobne paski, zaplisowana jest w całej długości w szerokie fałdy, u góry przysłonięta z przodu fartuszkową draperyą z kaszmiru. Stanik kaszmirowy z krótką baskiną z przodu, z tyłu chowa się pod tagłowek podpięc a z prostego bryna. Kołnierz, mankiety i falbana z materyi w pasy.

N. 18. Suknia z draperyą. Patrz ryc. 15 w N. 20.

Na spódnicy z bronzowego adamaszku w pasy, przerzucona draperya z piaskowego kaszmiru, skrzyżowana z przodu, a z tyłu dopełniona brytem prostym. Garnirunek spódnicy stanowi z przodu i z boków suta riusza 13 cent. szeroka tylny bryt jest plisowany, jak to wskazuje ryc. 15 w N-rze 20. Długi paletocikowy stanik ma z tyłu baskinę fałdowaną, przody zapięte na jeden guzik dopełnione są długą kamizelką.

N. 19. Suknia z zchusteczką szalową. Patrz ryc. 27 w N-rze 20.

Ubranie to da się odrobić z każdego miękkiego wełnianego materyału; spódnica ma u dołu plisowanie 15 c. szerokie, powyżej zaś dana bufa 45 cent. szeroka, w górnej połowie na 18 cent. wzdłuż przeszyta w płaskie fałdy. Tunika z przodu sfałdowana fartuszkowo, z tyłu podpięta podług ryc. 19. Stanik ma przody i boki dopełnione odcinaną baskiną, a plecy ścięte spiczasto, zachodzą na fałdowane karoczko. Na szalową chusteczkę potrzeba prostego kawałka materyału, 275 cent. długiego, 48 szerokiego, którego końce przemarszczone są wzdłuż na 6 cent., do 5 cent. szerokości i zakończone kokardami z wstążki 7 cent. szerokiej. U góry chusteczki z tejże wstążki naszyty jest kołnierz szalowy, z tyłu zakończony kokardą.

N. 20. Suknia z pelerynką.

Do sukien spacerowych letnich bardzo noszone są pelerynki, które szyją się z tego co suknia materyału lub z odmiennego; na ryc. 20 do sukni kaszmirowej ozdobionej haftem dodana pelerynka pluszowa z podszewką jedwabną i frendzlą.

N. 21. Płaszczyk długi dla pań starszych.

Odrobiony z czarnego kaszmiru na jedwabnej podszewce, podług formy dobranej w dawniejszych N rach Tygodnika. Strojne przybranie stanowi falbana i riusza z koronki hiszpańskiej 10 cent. szerokiej, pasmanterya dżetowa i kokardy z wstążki atłasowej.



N. 16—26. Ubrania spacerowe dla dam i dzieci.

N. 16. Paletot z plecami spiczasto ściętemi. Z obaczyć przód na ryc. 39. Model kroju na ryc. 38 w N-rze 20.

N. 17. Suknia ze stanikiem z baskiną.

N. 18. Suknia z draperyą szalową. Zobaczyć plecy na ryc. 15 w N-rze 20.

N. 19. Ubranie z chusteczką szalową. Przód na ryc. 27 w N-rze 20.

20. Ubranie z pelerynką.

1. Długi płaszczyk dla niemłodych dam.

N. 22. Paletocik z panier. Zobaczyć przód na r. 36 w N-rze 20.

N. 23. Ubranie suto garnirowane koronkami.

N. 24. Suknia z vêtement dla małej dziewczynki.

N. 25. Sukienka z bluzką dla małej dziewczynki.

N. 26. Ubranie z vêtement.

N. 22. Paletocik à panier. Patrz ryc. 36 w N-rze 20.

Do spódnicy wyciętej u dołu w zęby i podgarnirowanej falbanką, ułożony eleganeki paletocik, stanowiący dopełnienie dystyngowanego ubrania spacerowego. Przody zakończone są rodzajem panier, zmarszczonego u góry w nagłówek, podchodzącego pod ranwersy 7 cent. szerokie, dane przy plecach. Z pod tych ranwersów wysuwa się szarfa morowa, związana w wielką kokardę u dołu pleców. Kosztowna frendzla sznelowa liczy 25 cent, szerokości. Rękawy garnirowane koronką 13 i 25 cent. szeroką; kokardy z morowej wstążki 7 cent. szerokiej, guziki szmuklerskie.

N. 23. Suknia przybrana koronką.

Kosztowne to wspaniałe ubranie składa się ze spódnicy z ciężkiej adamaszkowej materyi, której deseń naśladuje koronkę, zakończonej u dołu falbankami z gładkiej materyi i ogarnirowanej sutą riuszą koronkową; stanik i tunika à panier są z gładkiego atłasu. Garnirunek ułożony z koronki 10 i 25 cent. szerokiej, otacza brzegi tuniki a z przodu dany wachlarzowo; zwracamy uwagę na zręczne upięcie koronkowej chusteczki.

N. 24. Ubranie dla małej dziewczynki.

Plecy staniczka ułożone są w kontrafałdę 15 cent. szeroką, przód zaś w dwie kontrafałdy po 8 cent. szerokie i przewiązany jest szarfą jedwabną 20 c. szeroką, która z boków zachodzi pod plecy i u dołu zakończona jest kokardą. Spódniczka plisowana podgarnirowana koronką. Kołnierz i mankiety z cienkiego fałdowanego batystu, oszytego koronką.

N. 25. Sukienka z bluzkowym staniczkiem.

Spódniczka ma dwie falbanki plisowaae po 12 cent. szerokie; tuniczka z prostego kawałka sfałdowana, z bokow podpięta kokardami. Długi bluzkowy staniczek ma plecy założone w trzy, przody w cztery kontrafałdy po 4 cent. szerokie; pasek z wstążki związanej w kokardę. Kołnierzyk pelerynowy z koronki.

N. 26. Suknia z vêtement.

Przody vêtement są u dołu odwinięte w ranwersy i zachodzą aż pod kokardę daną na baskinie pleców, z pod której wysuwa się bryt prosty, podpięty w bufy. Spódnica o ile ją widać jest zaplisowana, z boków tylko zostają pasy gładkie, a z przodu u góry dane krótkie fartuszkowe upięcie. Obcisłe rękawy są przy szwie górnym trochę podwatowane, aby odstawały mocno przy szwie ramienia. Wązki wyłożony szalowy kołnierz, odsłania atłasową krawatkę, założoną przy stojącym kołnierzyku, przepiętą szpilką. Całe to ubranie było kcloru ciemno zielonego.

N. 27—28. Dwa żaboty.

Żaboty przedstawione na r. 27 do 28 nie wymagają szczegółowego opisu, gdyż z łatwością dadzą się upiąć podług wzoru. Materyał stanowi wstążka, atłas, mora lub surah i koronka, której modne są różne rodzaje; najmodniejszą jest koronka saska wyszywana w maszynie. Używane są także koronki naszyte białemi lub kolorowemi szmelcowanemi perełkami.

N. 29—30. Przykrycie do okna. Patrz r. 25—26 w N. 20. Haft armeński.

Pasy haftu łączone z pasami ciemnego pluszu, przedstawiają się bardzo efektownie; ryc. 30 przedstawia jedną gałązkę w naturalnej wielkości, która powtórzona jest cztery razy wzdłuż przykrycia; wązki szlaczek podaliśmy na ryc. 26 w N-rze 20, a wyszycie ściegiem armeńskim objaśnia ryc. 25. Haft odrobiony jest na tle z purpurowego płótna, białym kordonkiem, tylko środki podłużnych liści i okrągłe kwiaty są robione piaskowym jedwabiem w dwóch cieniach, a do zapełnienia środeczków użyty jedwab zielony. Podług r. 25 w N. 20 widzimy (w powiększeniu) jak jednocześnie obwodzą się kontury i zapełniają części deseniu; tym sposobem tylko króciutkie ścieżki przejmują się na lewą stronę, a długie

dane są tylko wierzchem, przez co oszczędza się kordonek. Wyszycie podobne do oczek łańcuszka daje się również podług ryc. 25. Dolny brzeg przykrycia zakończa szeroka frendzla.



N. 27. Żabot ze wstążki i koronki.



N. 29. Przykrycie na okno. Haft armeński; zobaczyć jeden bukiet haftu na ryc. 30, próbka ściegu ryc. 25 a wązki szlaczek ryc. 26 w N-rze 21.



N. 28. Żabot z atłasu, wstążki i koronki.



N. 30. Haft armeński do ryc. 29. Zobacz ryc. 25 i 26 w N-rze 21.